

W NUMERZE: Razem na wroga • Z dni wspólnych walk • Pascal a psychologia podświadomości • Kultura wszędzie dla wszystkich • Współodpowiedzialność • Białe plamy są na biegunach • Spotkanie w Odessie • Nowe perspektywy • O „kulturalnych” kłopotach stolicy Podkarpacia • O dom dla sierot • Braterstwo poezji • Cud nad jeziorem • Konkurs • I in.

KAMENIA

LUBLIN

31.X.1962

Nr 20 (258)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

STEFAN SZCZYPACZOW

Domek w Szuszenskoje

(FRAGMENTY)

I znów w pogodzie nastąpiła zmiana.
Noc w Szuszenskoje bez gwiazd i miesiąca.
I wzdłuż i wszerz zamiecią w krąg zawlana
Syberia ciągnie się na wiorst tysiące.

Jeszcze nie w jasnych pokojach Ispartu,
Gdzie się o daty polikasz co krok,
Ale jedynie na atlasie kartach
Kraj Minusiński odnajdzie twój wzrok.

Jeszcze upłyną długie nędzy lata,
Zanim rozbłyśnie października świt,
I te z pokładu „Aurory” armaty
Są jeszcze ruda, która w górach tkwi.

Pali się świeca kołysząca cienie...
Zamieć ponura wieś od świata grodzi,
Lecz tu, gdzie myśli, gdzie pracuje Lenin,
Przez Szuszenskoje ziemska oś przechodzi.

Już po północy, okno całe w śniegu,
A ciągle pisze pióra jego ostrze.
Skoś zamieć złą dziewiętnastego wieku,
Dwudziesty wieku, on już ciebie dostrzeż!

On wie, w czym Rosji siła niepojęta
I jaka przyszłość ją rozjaśni nowa.
Cóż że atrament jeszcze nie wyschnięty,
Lecz nieśmiertelne są już jego słowa.

Domek od świata dzieli przestrzeń białą,
Lecz mróz na szybie wyhaftował wzór, —
Tu geografia jest Sybiru cała
Od oceanu do Uralskich gór.

Oto tu srebro jej równin szerokich,
Tu, w igłach cały, las zasypał śnieg.
Tam dojrzeć można gór wysokich stoki
I jak jelenie rogi linie rzek.

Widzi stąd kręte zaułki Kazania
I biblioteki, i moskiewski gród,
I w oczach jego Petersburg się ślania,
W granicie Newa toczy nurty wód.

Dzwonek umowny — wchodzi bez obawy.
Pokój. Na ścianie zegar zawieszony
I ciężar czasu ciągnie łańcuch rdzawy,
Odmierza sekund pochód monotony.

Noc za rogatką głuche kroki liczy.
Natrętnym szpiclom trzeba zmylić ślady,
I znowu w kółku robotniczym
Spogląda w oczy uczniów Blady.

O, ci nie zdradzą — na śmierć się odważą,
Oczy każdego jak płomień dwa.
W nich się marzenie twoje, Rosjo, jarzy,
W nich, klaso robotnicza, młodość twa.

Ten sam wciąż stary zegar się natęcza,
Na ścianie izby jego zawieszony,
I łańcuch rdzawy ciągnie czasu ciężar,
Odmierza sekund pochód monotony.

Powolnym ruchem, ścisłym i niezmiennym
Na tarczy zda się pogrążonej w śnie
Wskazówka krąg zatacza swój codzienny
I po orbicie swojej ziemia mknie.

A z tyłu legły siwe koleiny
Od wrót dzieciństwa, od znikanej ziemi,
Czas rewolucji i wojen godziny
Obliczał zegar sekundami swemi.



P. BIEŁOUSOW — WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN WŚRÓD MŁODZIEŻY

I gdzie Jenisiej toczy wody siwe,
W kraju, co ledwo zaludniony w pół,
W domku-muzeum z nabożnym podziwem
Patrzę na zwykły niby inne stół.

Tu Lenin mieszkał,
Siedział przy tym stole,
Tu, gdzie ja stoję, kiedyś także stał.
Gdym ja dopiero stawał w ludzi kole,
On wtedy los mój już rozstrzygał miał.

Przemknęło bosa me dzieciństwo ewalem
I gdy Październik wielki nadszedł już,
Nie chatę — w spadku państwo otrzymałem:
Pola i rzeki, góry, głębie morz.
Ja cześć i chwałę swojego narodu
Jak syn przyjąłem pod krwawym sztandarem.

Pilotkę, która spełza mi w pochodach,
Jeszcze przed drzwiami szybko
[z głowy zdarłem.
Ostrożnie stąkam po deskach podłogi,
Każdy w tym domu kąć obchodzi z cicha.
I spokój wszędzie tu panuje błogi,
I ciszę tę jak nieśmiertelność wdycham...

Przełożył
Kazimierz Andrzej Jaworski

**WOLNOŚĆ
SZŁA
ŁĄDEM
i
MORZEM**

**WALDEMAR
BABINICZ**

MARIA Konieczko chlubi się całą wieś; dawniej, kiedy były jeszcze gminy, sam przewodniczący Gminnej Rady Narodowej składał jej wizyty i zapraszał na wszystkie lokalne uroczystości. Witając przybyłych na akademii dostojnych gości kończył zwykle z góry przygotowaną formułką: „Witam też naszego weterana, zasłużoną ob. Marię Konieczko”.

Nawet młodzi, którym, jak wiadomo, nie imponuje ani włos siwy, ni ilość wychowanych dzieci, nawet oni z nutką chęlności w głosie tłumaczą przygodnym turystom: „Nie tu ciekawego do oglądania nie ma, chyba tylko jedna Maria Konieczko, stara bo stara, ale cały świat objechała”, i po chwili milczenia, żeby oszołomić rozmówcę: „W Szwajcarii też była. I w Niemczech, i we Francji, w Belgii i w Ameryce. Wszędzie”.

Konieczko ma siedemdziesiąt osiem lat. Oczywiście, wiek sędziwy, ale, jeśli się zważy, iż w Chlewicach Wtorkowa ma sto dwa i w dziewięćset pięćdziesiątym ósmym pieszo

(Dokończenie na str. 6)

Z POCZĄTKIEM 1942 roku na terenie niemalże całej Lubelszczyzny zaczęły pojawiać się jeńcy radzieccy, zbiegli z transportów czy też obozów jenieckich. Ludność okoliczna darzyła ich sympatią, udzielała im pomocy i schronienia. Ci obywatele radzieccy, oficerowie i żołnierze Armii Czerwonej po udanych ucieczkach z niewoli, szukali łączności z partyzantką polską, by na tyłach wroga z jeszcze większą energią przystąpić do walki. Oni to stali się zasilniczym trzonem pierwszych oddziałów partyzanckich. Oficerowie chętnie dzielili się swym doświadczeniem wojennym, dowodzili oddziałami partyzanckimi, w których skład wchodził Polacy, w dużym stopniu zasilali szeregi polskich oddziałów partyzanckich, a walcąc wraz z nimi przyczyniali się do zwycięstwa w akcjach.

Przy końcu 1941 roku zorganizowano już oddział im. Czapajewa. Dowodził nim M. Kołosow. Znaleźli się tu prócz zbiegłych z niewoli jeńców radzieckich również Polacy — byli członkowie KPP. Oddział ten wiosną 1942 roku przeszedł pod dowództwo Franciszka Wolińskiego (ps. Franek) i działał nadal na terenie powiatu lubartowskiego.

Na przełomie lat 1941/1942 w tych samych okolicach powstał drugi oddział „Dawida” (oficer Armii Czerwonej). Wszedł on następnie w skład oddziału zorganizowanego przez oficera A. Cz. Teodora Albrechta (ps. Fiodor). Oddział ten prowadził działalność bojową przeciw okupantowi i jego administracji terenowej. W połowie 1942

roku liczył on już około 200 partyzantów.

W roku 1942 i 1943 powstawało coraz więcej oddziałów. Wiosną Jakub Aleksandrowicz (ps. Alek) zorganizował z okolicznych chłopów oraz ze zbiegłych z niewoli niemieckiej jeńców radzieckich oddział działający przeważnie na Podlasiu.

W tym też czasie Stanisław Szot (ps. Kot), Jan Pytel (ps. Leon), Jan Wziętek (ps. Murzyn) zorganizowali oddział pod dowództwem oficera Armii

go. Oddział „Jastrzębia” pod dowództwem Antoniego Palenia, działający w powiecie krańickim, skupiał w swych szeregach również Rosjan zbiegłych z niewoli niemieckiej.

W końcu lutego 1943 r. w składzie operacyjnej grupy im. T. Kościuszki pod dowództwem Grzegorza Korczyńskiego działały oddziały Cieńcowa, Michała Atamanowa i Wasyla Wolodina. W marcu z oddziału „Armata” wyrósł samodzielny oddział polsko-radziecki pod dowództwem „Szymona”.

Razem na wroga

Czerwonej A. Rajewskiego. Był to oddział polsko-rosyjski, który następnie zasilili szeregi oddziału Grzegorza Korczyńskiego.

W połowie 1942 r. pod dowództwem S.A. Aleksiejewa (ps. Serafin) zorganizowano oddział im. Kilińskiego. Terenem jego działania były powiaty: Łuków, Garwolin, Puławy i Radzyń. Jesienią 1943 r. większość Rosjan z tego oddziału powróciła za Bug. W Puszczy Solskiej znany był ze swej działalności Michał Atamanow (ps. Miszka Tatar) wraz ze swym oddziałem polsko-rosyjskim im. Kotowskie-

byłego oficera Armii Czerwonej. Wiosną 1943 roku w lasach lipskich powstał oddział pod dowództwem por. Karola Herzenberga (ps. Karol i Lemiszewski). W skład jego weszli obywatele Związku Radzieckiego — jeńcy wojenni zbiegli z niewoli niemieckiej. Partyzanci radzieccy walczyli również w szeregach oddziału im. E. Plater.

ROK 1944 — to okres nasilenia działalności całego szeregu olbrzymich oddziałów, a nawet brygad partyzanckich radzieckich. W marcu 1944 r. brygada im. Wandy Wasilewskiej pod dowództwem gen.

dykcji. Okrutne były one zwłaszcza w roku 1943, kiedy to przez Rzeszowszczyznę przeszła fala pacyfikacji i ostrych represji ze strony okupanta.

Jeśli dodać do tego działalność faszystowskich organizacji nacjonalistów ukraińskich, sprawiającą, że całe przestrzenie leśne na terenach południowo-wschodnich były niedostępne dla ruchu oporu, łatwo zrozumieć, iż rozwój partyzantki napotykał tutaj na olbrzymie trudności i musiała ona ograniczyć się do grup wypadowych, w najlepszym razie — do niedużych, ruchliwych oddziałów.

Jednak już w roku 1939 spotykamy się na Rzeszowszczyźnie ze zbrojnym oporem przeciwko okupantowi. Na Podkarpaciu doraźnie organizowane grupy atakują niemieckie oddziały, a w tarnobrzelskim rozpoczyna działalność Jasiński, słynny organizator „Jędrusiów”.

Masowy ruch partyzancki rozwija się najbardziej w roku 1942, kiedy na Rzeszowszczyznę przybywa zrzucony ze spadochronem, znany działacz komunistyczny z tego terenu, bojownik o wolność ludu hiszpańskiego Augustyn Micał, a w jakiś czas później Jadwiga Ludwińska. W wyniku ich działalności powstają liczne komórki Polskiej Partii Robotniczej, grupy wypadowe i oddziały Gwardii Ludowej. Rozpoczynają wówczas walkę z hitleryzmem takie oddziały, jak: „Iskra”, w powiecie rzeszowskim i kolbuszowskim, oddział Grzegorza Wodzika na Podkarpaciu, Stanisława Jaskra w ropczyckim i jasielskim, liczne grupy wypadowe w przeworskim, łańcuckim, tarnobrzelskim i mieleckim.

Gwardziści szybko łączą się z zbiegłymi z niewoli niemieckiej żołnierzami radzieckimi, pomagają im w ukryciu się, zaopatrują w broń i żywność. Wielu byłych jeńców wchodzi w skład oddziałów partyzanckich, wnosząc do nich swoją wiedzę wojskową, doświadczenie bojowe, wyróżniając się odwagą i wytrwałością. Partyzantów radzieckich spotykamy we wszystkich wymienionych wyżej oddziałach (czternastu z nich zginęło podczas zaciętej walki oddziału „Iskra” z hitlerowcami pod Trzebuską w 1943 roku, trzydziestu obywateli ZSRR walczyło w oddziale GL w powiecie jasielskim) i w miarę upływu czasu liczba ich wzrasta. Ucieczki z obozów mnożą się — ludność mimo surowych ostrzeżeń hitlerowskich pomaga zbiegom i kieruje ich do lasu.

Niemcy mszczą się za tę pomoc straszliwie, stosując często prowokację. Celowała w tym szczególnie komenda obozu jeńców w Rymanowie, która przy pomocy swoich agentów organizowała przebiegłe zasadzki. Tak np. kiedy oddział GL Jaskra chciał dokonać akcji na obóz, dla uwolnienia jeńców, prowokator udający jeńca wprowadził partyzantów w zasadzkę i naraził na poważne straty. Sam rzeckomy jeńca przybył na miejsce spotkania w mundurze hitlerowskim. Inny prowokator wykradł się z Rymanowa

z grupą kilkunastu uciekinierów, którą wydał w ręce hitlerowców już na terenie powiatu brzozowskiego. Niemcy rozstrzelali wówczas trzech Polaków, którzy udzielił schronienia zbiegom. Krwawo zemścili się także oprawcy faszystowscy na mieszkańcach wsi Wólka w powiecie łańcuckim, ukrywających uciekinierów z obozu jeńców. W Tycynie po bestialskich torturach na gestapo rozstrzelano sekretarza tamtejszego Komitetu Dzielnicowego PPR Józefa Warzochę przechowującego byłych jeńców.

Mimo tych represji społeczeństwo nadal udzielało zbiegom pomocy i bardzo często trafiali oni do oddziałów GL. Najwięcej było ich na Podkarpaciu w powiecie jasielskim i gorlickim, działały tu nawet całe radzieckie oddziały partyzanckie złożone z b. jeńców jak: „Borcy za Sowiety”, czy oddział Leonowa. W jarosławskim w 1943 roku operują oddziały Wasyla, Dymidowa i Aleksiego Pawłowa.

Niemieckie obiekty wojskowe porozmieszczone w Rzeszowskim wzbudzały zrozumiałe zainteresowanie wywiadu radzieckiego. Np. w roku 1942 grupa zwiadowców działała na terenie poligonu i sztabu gen. Paulusa w Dębnie, rozszyfrowując z powodzeniem zamierzenia i zadania 6 armii. Grupa ta korzystała z pomocy ludności i partyzantów polskich.

Takich akcji było znacznie więcej i dla użytku radzieckich wywiadowców GL zorganizowała w Rzeszowskim całą sieć przerzutową i sieć informatorów zbierających dane o ruchach wojsk niemieckich, umocnieniach, siłach i rozmieszczeniu garnizonów. Działalność ta jednak była otoczona taką tajemnicą, a w dodatku tylu ludzi, którzy ją prowadzili, zginęło, że trudno dziś odtworzyć szczegółowo jej historię.

W roku 1943—1944 na północne tereny Rzeszowszczyzny przybywały grupy zwiadowców radzieckich oddziałów partyzanckich działających w Lubelskim i one także miały oparcie wśród miejscowych partyzantów AL. Tak np. w październiku 1943 roku na terenie powiatu tarnobrzelskiego działała grupa kpt. Wołodki, której zadaniem było zorganizowanie siatki wywiadowczej w Karpatach i Krakowskim. Grupa ta zainstalowała swoją radiostację w domu Antoniny Delbas w Woli Rzezyckiej, a miejscowi partyzanci utworzyli dla niej sieć informacyjną w powiatach tarnobrzelskim, rzeszowskim, kolbuszowskim i przeworskim.

Na tym samym terenie działała również grupa Wasilenki, która następnie przeprowadziła się na prawy brzeg Sanu. W Skowierzynie (powiat tarnobrzelski) została ona zwiadowcą lejtnanta „Iwana”, któremu pomagał miejscowy partyzant AL Michał Korga. W okolicy samego Rzeszowa działał zwiadowca radziecki pod pseudonimem Tomasz Wiśniewski, któremu dużej pomocy udzielił członek PPR dzielnicowy Raclawówka.

(Dokończenie na str. 6)

Aleksiego Fiodorowa sforsowała rzekę Bug. Już od pierwszych dni pobytu na Lubelszczyźnie przystąpiła ona do działalności dywersyjnej na torach kolejowych. W maju działała już na terenie lasów janowskich. Brygada brała czynny udział w czasie walk czerwcowych w lasach lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej.

W końcu marca przybyły również zza Bugu oddziały: Anatola Nadielina, Sergiusza Sankowa, kpt. Wasilenki, które ściśle współpracowały z PPR i AL.

W kwietniu 1944 r. z terenów zabużańskich przybyła grupa skoczów spadochronowych pod dowództwem mjr Włodzimierza Czepigi. W maju przybyła druga część oddziału. Z końcem tego miesiąca oddział liczył około 400 partyzantów dobrze uzbrojonych. Mjr Czepiga chętnie współpracował z polskimi oddziałami partyzanckimi AL, przydzielał instruktorów minerskich oraz częściowo zaopatrywał w broń. W walce z Niemcami w czerwcu oddział poniósł dotkliwą stratę, poległ również jego dowódca.

W kwietniu tegoż roku przybył również oddział partyzancki pod dowództwem oficera Armii Czerwonej kpt. Wiktora Karasiowa. W oddziale było tylko kilku Polaków. Oddział toczył boje w powiecie krańickim, a po walkach w lasach lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej przeniósł się na teren Karpat. W tym czasie przybył również oddział ppik Mikołaja Prokopiuka. Działał on w lasach parczewskich, lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej. Prowadził dywersję kolejową i wywiadowczą. Prokopiuk został wybrany dowódcą zgrupowania oddziałów radzieckich i polskich. Wiele walk stoczył oddział polsko-radziecki im. J. Stalina pod dowództwem Mikołaja Kunickiego (ps. Mucha).

Wspólna działalność oddziałów polskich i radzieckich doprowadziła do tego, iż okupant coraz bardziej tracił władzę na okupowanym terenie. Ciągłe akcje, zgrupowania partyzanckie, z którymi regularne wojska toczyły walkę, przysparzały wiele trudności. W dziesiątkach akcji partyzanci radzieccy pokazali swe bohaterstwo. 10 lipca 1942 r. oddział T. Albrechta (ps. Fiodor) rozbił punkt kontyngentowy w Wisznicach, 17 grudnia uderza na Ostrów Lubelski, 7 kwietnia 1943 r. oddział im. Czapajewa pod dowództwem M. Kołosowa zniszczył urząd gminny i tartak we wsi Nasutów, 22 października partyzanci radzieccy wraz z oddziałami polskimi walczy z okrażeniem pod Kochanami. 4 kwietnia 1944 r. oddziały kpt. Wasilenki, kpt. Nadielina, por. Sankowa wraz z oddziałem ppor. E. Gronczewskiego (ps. Przepiórka) atakowały kolumnę samochodową, jadącą od strony Izbicy. 14 maja w Rąbłowie kompania partyzantów radzieckich z oddziału mjr Czepigi wraz ze zgrupowaniem AL pod dowództwem ppik M. Moczara (ps. Mietek) walczy z okupantem zamykającym pierścień. 12 czerwca 1944 r. zgrupowane oddziały partyzanckie w składzie: 1 brygada im. Ziemi Lubelskiej pod dowództwem kpt. J. Borkowskiego (ps. Wicek) oraz oddziały partyzantów radzieckich pod dowództwem ppik M. A. Prokopiuka mjr. Wł. Czepigi, kpt. W. Karasiowa i innych — toczyły walkę z niemieckimi jednostkami w rejonie Dębowa (pow. Janów Lub.). 13 czerwca ubezpieczenie bojowe w rejonie wsi Szklarnia wystawiał oddział partyzancki kpt. Karasiowa. Dowództwo zgrupowania pełnił ppik M. A. Prokopiuk. Mjr Czepiga dzielnie odparł ataki Niemców na prawym skrzydle obrony.

14 czerwca 1944 r. w rejonie Wzgórza Porytowego zgrupowanie partyzanckie sięgające około 3.500 ludzi skupiało w sobie oddziały partyzantki radzieckiej, takie jak: Prokopiuka, Czepigi, Karasiowa, Wasilenki, Nadielina, Jakowlewa, Sankowa, jak też wiele oddziałów polsko-radzieckich. Oddziały te nie zrezygnowały z walk pod Ciosmami (15 czerwca), w Puszczy Solskiej (22 czerwca) i innych.

Oddziały Armii Ludowej i partyzantów radzieckich mimo strat współpracowały ze sobą i zachowywały stan gotowości do dalszej walki. W dniu wyzwolenia Lubelszczyzny zakończyły swój trud bojowy. Część ich wróciła do kraju, część zaś dalej prowadziła walkę z okupantem na terenie innych województw Polski.

Zbigniew Jerzy Hirs

Artykuł opracowany na podstawie Kalendarium walk Gwardii Ludowej i Armii Ludowej na Lubelszczyźnie Edwarda Gronczewskiego. Wydawnictwo Lubelskie 1962. Źródła i materiały do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie (1939—1944), t. III.

Z DNI WSPÓLNYCH WALK

WITOLD SZYMCZYK

TERENY Polski południowo-wschodniej odgrywały w zamierzeniach Hitlera i podczas jego agresji na Związek Radziecki bardzo ważną rolę. Stąd przecież w 1941 roku ruszyło natarcie atakującego z Lubelszczyzny wielkiego zgrupowania pancernego oraz skoncentrowanej w Rzeszowskim 17 armii niemieckiej. Tędy przebiegały główne linie komunikacyjne, którymi transportowano zaopatrzenie dla południowego odcinka frontu wschodniego. Znaczenie tych linii i całego terenu wokół nich wzrosło jeszcze bardziej, kiedy po klęsce pod Moskwą Hitler zdecydował się przenieść ciężar ofensywy na południe.

W realizacji tych planów poważna rola przypadła ziemiom tworzącym dzisiaj województwo rzeszowskie. To właśnie tutaj w końcu roku 1940 w Stępinie (pow. strzyżowski) rozpoczęto przygotowania do budowy obiektów, które w roku 1941 okazały się jedną z kwater samego Führera. Hitler przyjeżdżał tu wielokrotnie, konferując z Antonescu, Węgrami, a nawet z samym Duce.

Na północ od szosy Dębica — Rzeszów utworzono olbrzymie Übungsplätze dla wojsk SS, Wehrmachtu i Luftwaffe. Wysiedlono przy tym bezlitośnie mieszkańców wszystkich wiosek znajdujących się na tym obszarze. Na tych poligonach w rejonie Dęby 6 armia gen. Paulusa intensywnie przygotowywała się do swego natarcia na Stalingrad.

Ponadto na terenach środkowej i północno-wschodniej Rzeszowszczyzny zlokalizowano olbrzymie składy amunicji i sprzętu wojskowego, z których zaopatrywano walczące jednostki. W latach późniejszych przeniesiono w Rzeszowskie — konkretnie pod Dębicę — ośrodek doświadczalny bomb V.

Wszystkie te obiekty miały silną, wojskową ochronę, a uczulenie hitlerowców na najmniejsze przejawy dywersji było tutaj szczególnie. Pojawienie się każdego oddziału partyzanckiego ścigało szybko ekspedycję karna, obecność zaś dużych jednostek wojskowych w pobliżu ułatwiała znacznie organizowanie takich ekspedycji.

PASCAL a psychologia podświadomości

ARMIN TESKE

TRZECHSETNA rocznica śmierci Pascala skierowała na nowo uwagę świata na jego osobę i dzieło. Również w naszych czasopismach ukazały się liczne artykuły; dotyczyły głównie Myśli, najgłośniejszego dzieła Pascala, w mniejszym natomiast stopniu innych dziedzin jego działalności. A działalność ta jest nader różnorodna. Pascal był wielkim matematykiem, dał elementy geometrii rzutowej, był jednym z twórców rachunku prawdopodobieństwa i w pracach nad cykloidą rozwinął metody, z których wyrosła analiza matematyczna. W fizyce sformułował ogólne prawo dotyczące równowagi cieczy; temu też zawdzięczamy wykonanie słynnego eksperymentu na Puy de Dôme, wyjaśniającego zjawiska barometryczne. Bardzo ważne są jego prace nad podstawami matematyki. Od czasów Arystotelesa wiedziano, że w matematyce nie można wszystkiego dowodzić, że potrzebne są twierdzenia wyjściowe, aksjomaty, przyjmowane bez dowodu. Pascal uzupełnił to pod bardzo istotnym względem; zauważył, że nie można też wszystkiego definiować, że musimy opierać się na „mots primitifs” — wyrażeniach pierwotnych. Teoria definicji, którą Pascal w związku z tym podał, jest szczególnie bliska współczesnym poglądom.

Ale Pascal myślał też o zastosowaniach praktycznych. On właśnie omyślił i skonstruował pierwszą maszynę do liczenia; zajmował się tym przez kilka lat i sporządził kilkadziesiąt modeli próbnych. Konstrukcja, na której się zatrzymał, działała wprawdzie powoli i ze względu na stan ówczesnej techniki nie była dostatecznie odporna na pracę ciągłą, ale Pascal dał tym początek ewolucji nader ważnej; maszyny liczące dziś nie tylko ułatwiają pracę, są w pewnych dziedzinach, np. w astronautyce, środkiem niezbędnym. Ta gotowość Pascala do podejmowania zadań praktycznych jest szczególnie interesująca. Kiedy już prowadził życie ascety i nosił pas żelazny z kolcami, które wbijał sobie w ciało, miał pomysł uruchomienia komunikacji miejskiej w Paryżu. Z jego inicjatywy ukazały się na ulicach Paryża „les carrosses à cinq sols”, które kursowały po ustalonych trasach i zabierały pasażerów za niewielką i stałą opłatą. Również barometr chciał wykorzystać praktycznie, do prognozy pogody.

Ten zakres działalności Pascala jest w ogólnych zarysach dobrze znany, ale w szczegółach pozostało sporo spraw spornych. Nawet co do tekstu Myśli, a tym bardziej co do kolejności poszczególnych fragmentów. Tak oto w wydaniu Brunshwieg, sporządziłym przeciw z ogromną skrupulatnością, początek paragrafu 324 brzmi: „Świat ma mniejszą wartość zdrową: na przykład: iż wybrał zabawę i łowy raczej niż poezję (...la chasse plutôt que la poésie). Wydaje się jednak obecnie, że powinno być „iż wybrał zabawę i łowy raczej niż zdobyć (prise) zamiast poezji”. Poprawka ta pozostaje w związku z teorią rozrywki, którą Pascal dał w innych częściach Myśli. Stan nasz jest nazbyt smutny, byśmy chcieli sobie z niego zdawać sprawę; potrzeba nam czegoś, co by odwracało nasze myśli. „Czym się dzieje, iż ten człowiek, zmartwiłony śmiercią żony i jedynego syna, znękan dokuczliwym sporem, w tej chwili nie jest smutny? Nie trzeba się temu dziwić: podano mu piłkę, musi ją odrzucić partnerowi”. W rozrywce chodzi o czynność, nie o cel tej czynności, o łowy, nie o zdobyć. Oto można wyruszyć na polowanie; dajcie mu dzika w darze, a będzie niezszcześliwy.

Nieżyczliwa uwaga o poezji zawarta w dawniejszych wydaniach Myśli była powodem wielu komentarzy, m. in. Voltaire'a. Do tych komentarzy dołączył teraz nowe, krytykujące pochopność dawnych. Istotnie, w razie nieautentyczności tekstu tracą one podstawę. Czy jednak całkiem, czy Pascal

w ostatnich latach życia był przychylnie nastawiony do poezji? Jego opinia o teatrze jest w każdym razie nader wyraźna: „Wszelkie publiczne rozrywki są niebezpieczne dla życia chrześcijańskiego; ale z pomiędzy wszystkich wymysłów świata nie masz bardziej niebezpiecznego niż teatr”. Pascal uzasadnia ten pogląd w sposób następujący: „Jest to tak naturalne i delikatne przedstawienie namiętności, iż porusza je i rodzi w naszym sercu, zwłaszcza miłość; ...Tak więc, widz opuszcza teatr z sercem tak napełnionym wszystkimi pięknościami i słodyczami miłości, tak przeświadczony w duszy i umyśle o jej niewinności, iż jest zupełnie przygotowany do przyjęcia jej pierwszych wrażeń, lub raczej do szukania sposobności, aby je obudzić w czymś sercu”. Czy nie godzi to również w poezję?

Ale poza tymi kwestiami dotyczącymi manuskryptów Pascala lub interpretacji jego dzieł rozciąga się dziedzina mniej uchwytna: sprawa wpływu, jaki Pascal wywarł, bądź pośrednio, swymi dziełami, bądź też bezpośrednio, ideami, które wyraził w rozmowach. Rozmowy takie odgrywały wówczas daleko większą rolę niż dziś — zastępowały nasze kongresy naukowe. Przypomnijmy, że myśl o podstawowym eksperymencie dotyczącym ciśnienia atmosferycznego, wykonanym potem na Puy de Dôme, wypłynęła właśnie w rozmowie; było to we wrześniu 1647, kiedy Descartes odwie-

*) Myśli, wyd. Brunshw., § 11.

dził Pascala. Warto może wspomnieć, iż Descartes zachował tę rozmowę inaczej w pamięci niż Pascal. Nie będzie jednak wchodzić w tę sprawę, której problematyka była wielokrotnie rozpatrywana, zajmiemy się natomiast innym zagadnieniem tego typu, mało znanym, a dotyczącym wpływu Pascala na Nicole'a. Chodzi o psychologię podświadomości.

Pierre Nicole przeszedł do historii nauki głównie jako autor (współ z Arnauldem) znakomitego podręcznika logiki*). Był jednym z głównych przywódców jansenizmu, ruchu religijnego skupiającego się wówczas w Port-Royal. Miejsowość ta, położona w pobliżu Paryża, była siedzibą klasztoru żeńskiego, którym kierowała slynna przeorysza Angelika Arnauld, siostra Pascala, Jacqueline'a była jej zastępczynią. Jak wiadomo, Pascal w ostatnich latach życia związał się ściśle z jansenizmem i cały swój talent oddawał na usługi tego ruchu. Dzięki Prowincjałkom stał się głównym szermierzem w śmiertelnej walce, jaką janseniści toczyli wówczas z jezuitami. Brał też udział w pracach praktycznych Port-Royal; zajmował się np. usprawnieniem dydaktyki w szkołach utrzymywanych przez jansenistów. Stykał się więc często z Nicolem; niektóre jego myśli weszły też do wymienionego podręcznika logiki.

W roku 1691, wiele lat po śmierci

*) Dzieło to ukazało się ostatnio w tłumaczeniu polskim, w Bibliotece Kłasyków Filozofii.

Pascala, Nicole napisał szereg rozpraw zebranych potem przez jego przyjaciół w Traktacie o Łasce. Rozprawy dotyczyły zagadnień teologicznych, ale Nicole zawarł też w nich, odpowiadając na pewien zarzut Arnaulda, prawdziwy wykład psychologii podświadomości. Powołuje się przy tym dwukrotnie na Pascala i na osobiste z nim kontakty.

Dusza nasza — pisze Nicole — może nie znać swojej miłości i swych myśli. Często udaje, że nie kocha tego, co kocha naprawdę. W sercu naszym mogą być myśli i pożądania nieodróżnialne dla nas, które jednak wystarczają, żeby skazić nasze postępowanie. I podobnie jak mamy pożądania ukryte przed duszą (cachées à l'âme), życzenia, które nie występują w polu widzenia umysłu, tak rzecz ma się też, jeżeli chodzi o myśli w węższym rozumieniu. Tak na przykład, gdy podążamy do pewnego miejsca, wybieramy drogę najprostszą, najmniej uciążliwą. Postępujemy więc rozumnie, ale najczęściej wcale nie zdajemy sobie z tego sprawy. Nicole ilustruje te myśli niedostrzegalne (pensées imperceptibles) następującym porównaniem: „Gdy kamyk wpada do wody i wobec tego zajmuje pewne miejsce, woda, która je przedtem zajmowała, rozchodzi się kołowo po powierzchni... i koła te rozróżniamy aż do pewnej odległości; ale potem, choć ruch rozchodzi się dalej, koła te stają się niedostrzegalne... Podobnie jak nie wolno wnioskować, że nie ma ru-

(Dokończenie na str. 10)

PRZEGLĄDY I POGLĄDY

Kultura wszędzie - dla wszystkich

JERZY GEMBICKI

NA pewno jestem warszawskim patriotą. Na pewno cieszę się wszystkim, co w stolicy pięknie i nowe, lecz pisząc ten i — jeśli „Kamena” zezwoli — następne felietony, chciałbym unikać samych pochwał. Czasami pisać również i o tym, o czym się tu w Warszawie zapomina, o czym się nie mówi, a jeśli się mówi, to w sposób, który nieco przekornemu felietoniście może się wydać niestosowny. Więc zaczynamy.

Na lamach prasy centralnej pełno sążnistych artykułów na temat „kultury masowej”, modelu tej kultury, pobożnych życzeń na ten temat i mnóstwo teoretycznych roztrząsań i dysertacji. Moda na ten temat jest, by tak rzec, światowa: piszą Amerykanie, Anglicy i Francuzi. Na pewno od nich nie gorzej jest nasz Żółkiewski, tylko że... Nasuwają się już właśnie pierwsze wątpliwości, jeśli się weźmie pod uwagę, że w naszym kraju podział na „kulturę masową” i „kulturę elitarną” jest raczej wydumany i chyba niestosowny. W kraju socjalistycznym należy myśleć przeciw o kulturze wspólnej dla wszystkich, a nie o kulturze dla ubogich i bogatych duchem (a także kiesą) odbiorcach dóbr kulturalnych.

Pojęcie kultury dla wszystkich nie ma, rzecz jasna, oznaczać, że ma być ona byle jaka, obliczona na najniższe gusta odbiorców, bo rzekomo one decydują o tym, że panoszy się w Polsce „chultura” (przepraszam za sporne słowo) i szmira. To jest też urojony punkt widzenia, albo po prostu wygodny pretekst dla tych, których nie stać na wartościową twórczość — właśnie dla wszystkich. Bo przecież decydującą sprawą jest nieustanne pomnażanie faktów kulturalnych, mających wartość zarówno pod względem artystycznym, jak i społecznym. Stały obieg tych wartości w całym społeczeństwie może nam dopiero zagwarantować realizację wysiłków w dziedzinie upowszechnienia kultury. Przez masę więc dóbr kulturalnych wiedzie droga do „kultury masowej”.

I niedobrze się dzieje, jeśli w cieniu wielkiej publicystyki o charakterze teoretycznym giną takie fakty, jak ten, że wydajemy o połowę mniej dzieł literatury pięknej niż w Czechosłowacji czy NRD, i że mamy obecnie według ostatnich danych statystycznych, milion analfabetów! Takie sygnały powinny postawić w ostrym pogotowiu tych wszystkich, którym naprawdę leży na sercu los kultury w Polsce. I wobec takich alarmujących informacji wszyscy powinni zdać sobie sprawę z tego, że nie wielkie i trudne dyskusje, choć na pewno interesujące i potrzebne, mogą wpłynąć na ogólny poziom życia kulturalnego, lecz mniej może „wyśrubowane” intelektualnie, a jak najbardziej jeszcze niedocenione wysiłki działaczy kulturalnych w mniejszych miastach, osadach i wsiach.

O kulturze w Polsce decydują teatry na prowincji, kluby dyskusyjne, prasa literacko-społeczna, biblioteki i wiele innych ośrodków życia kulturalnego rozsiadanych po całym kraju. Im będzie więcej tych punktów na mapie kulturalnej Polski, im wyższy poziom będzie pracy ludzi oddanych krzewieniu nauki, oświaty i wiedzy o życiu współczesnym, tym szybciej nastąpi proces integracji kulturalnej, tym sensowniej będzie można mówić o kulturze masowej, dostarczającej obywatelom możliwości wyboru wartości kulturalnych odpowiadających ich gustom, zamiłowaniu i potrzebom.

W obecnej sytuacji nie rozdieramy też szat, że nastąpiła fala wzrostu gatunków i rodzajów rozrywkowych — w literaturze, filmie, radiu i telewizji. Troszczmy się raczej, żeby do tej produkcji rozrywkowej nie wtarła tandeta i szmira. Niech formy

rozrywkowe służą również kulturze życia codziennego; niech wystrzegają poczucie humoru, budzą zainteresowania, „trenują” umysłowo do podjęcia trudniejszych konkurencji, jak choćby... bieg z przeszkodami do Kafki. Obok jednak tej formy atrakcyjno-wydawiskowej, coraz więcej należy dołożyć starań w upowszechnianiu popularnych opracowań z dziedziny współczesnej wiedzy o świecie, osiągnięciach nowoczesnej cywilizacji i kultury życia codziennego w warunkach postępu technicznego i materialnego naszego kraju. Dopiero suma tych inicjatyw-utrwalona w świadomości całego społeczeństwa może nam zagwarantować ilościowo i jakościowo wartościowy model czy typ jednolitej kultury masowej.

FRAGMENT ZAMKU — MUZEUM W LANCUCIE

Muzeum notuje rocznie ok. 300 tysięcy zwiedzających (Vide art. „Nowe perspektywy” na str. 8)

Foto M. Kopce



BĘDZIE ICH TYSIĄC

JACEK WOJCIECHOWSKI

Wyrośli wysoko ponad okoliczne chałupy i domki, wyróżniają się z daleka czerwienią swej cegły. Czasami zamiast cegły ciemniejszą czarną, wysłużoną deską. Nierzadko jednak szukanie będzie bezowocne, po prostu nie ma ich wcale, lub ukryły się wśród zmurszałych ścian baraków i szop. To szkoły wiejskie.

Są różne. Dwuizbowe, błogosławiące wynalazek dziadka Łukasiewicza, są i siedmioklasowe, z telewizją, bieżącą wodą. Przybrały najrozmaitsze kształty; bruchate, powyginane w fantastyczne zgięcia, świadczą o kolejnych próbach zwiększenia swej powierzchni, ale ciasnota jest ich wspólnym kłopotem. Brak pracowni, urządzeń pomocniczych, lekcje odbywają się na trzy zmiany, czasem gdzieś tam mieszano jeszcze wykroć mieszkanie dla nauczyciela. Przez wiele lat były tylko te śmieszne, pekaty twory. Śmieszne? Posłuchajcie, jak powstały, zanim uśmiechniecie się ironicznie.

Zdenerwowany trzeszczeniem drewnianych ścian jedynej klasy, kierownik szkółki zbierał swą energię i przystępował do długiego szturmu. W powiatowym inspektoracie wycierał dokładnie z kurzu wszystkie krzesła na korytarzu, odwiedzał każdy pokój. Kiedy poczta pantoflowa donosiła, że kierownik znów zawitał do miasteczka, pan inspektor w nerwowych podrygach zniknął wśród licznych zaułków. Kierownik, ku uciesze gawiedzi, biegł truchcikiem po całym mieście, aż w końcu na którymś rogu wpadali na siebie obaj, mocno zaszpani.

— Panie inspektorze, jak to będzie z tą szkołą? — padało pytanie, jak dobrze wymierzony cios. Inspektor był na ogół słabszym maratończykiem i pierwszy dawał za wygraną.

Ale pieniądze z inspektoratu to tylko propagandowy początek, o właściwy fundusz na tę inwestycję kierownik musiał się starać już sam. Wtedy dopiero wykazywał cały hart ducha, przechytrzywszy chłopskie skąpstwo, niechęć kościoła (na to są pieniądze, a na nowy ołtarz nie ma!), wrogość posiadaczy większych gruntów (na czyjej ziemi toto postawia, he?). Kapały grosze ze zbiorów, dobrowolnych datków, z prac szkolnych, zabaw i różnych imprez rozrywkowych. A kiedy nakapalo trochę, rozpoczynano budowę, po wściekłych awanturach o lokalizację. Czasem pomagała jeszcze gmina, częściej ludzie, zakasawszy rękawy, przy robotach ziemnych, murarskich. W ten sposób rosły szkoły, budowane według możliwości materialnych, na ogół znacznie skromniejszych od rzeczywistych potrzeb. Dlatego nie śmieję się z tych niezgrabnych budynków, bo właśnie one są pomnikami ludzkiej energii i wytrwałości.

Powstają teraz inne pomniki, Tysiąclecia, akcja ich budowy jest wydarzeniem bez precedensu w skali światowej. Nie dzieje się to kosztem beznadziejnych zmagani garstki zapalczyków, ten ciężar wzięło na swoje barki całe społeczeństwo. Tylko czasami nowe szkoły nie dają wyobrażenia o wysiłku, jaki włożono w ich budowę, a w każdym razie wątpliwości nasuwa wysiłek myślowy.

Oto na przykład stanęła sobie nowitka, kolorowo tynkowana szkoła, ale... bez sali gimnastycznej. Ktoś próbował oszczędzać, więc zajęcia w.f. trzeba prowadzić między klozetami a kurnikiem pana kierownika. Są oczywiście szkoły z salami gimnastycznymi, tylko że ich metraż (tzn. sal) obliczono według ilości uczniów we wszystkich klasach. Takie są normy architektoniczne. A że nie można tam zagrać w siatkówkę, nie mówiąc o koszykówce, to już nikogo nie obchodzi. Oto dlaczego sport na wsi leży. W pewnym miasteczku istnieje klub o dużych tradycjach sportowych, lecz bez własnej sali. Kiedy stawiano tam nowe liceum, działacze zaproponowali kierownictwu szkoły fundusze na nieznaczne powiększenie budowanej sali i urządzenie małej widowni. Ale dyrektor szkoły krzyknął gromko: veto! Ze to się sala „zanieś”, a w zimie trzeba będzie dodatkowo zastrudnić palacza na niedzielę.

W niektórych szkołach klasy pozamieniano na mieszkania dla nauczy-

cieli. Zwykle przeznaczają się na to stare, opuszczone właśnie szkoły, ale trudno przydzielić komuś pokój w szopie. Podobnie biblioteki gromadzą marzą o jakimś przytulisku w nowym budynku. O nich nikt nie pamięta, to inny resort, dobrze jeśli czasem wykoł się kąt w starej szkole. Bywały sporadyczne wypadki, kiedy nowa szkoła nie mogła znaleźć miejsca na pracownię, gabinet lekarski, czy bibliotekę szkolną, w momencie startu stawała się zbyt ciasna. Nie brakło tradycyjnych błędów wykonawstwa, odlatujących tynków, przewieszonych okien, parkietów ilustrujących burzę na morzu. Te szczegóły nie mogą jednak przesłonić całości obrazu. Zapewniam, że nie tak nie odzwierciedla postępu na wsi, jak kontrast pięknej, nowoczesnej szkoły o weneckich oknach ze starą jednoklasówką, której strzecha przypomina rzeszoto.

Budowa nowych szkół poza wielkie fundusze, trudno się dziwić iż mało ich zostaje na remonty istniejących już placówek. Inna sprawa, że nigdy chyba nie było takiego pędu do odnawiania, jaki obecnie można zaobserwować. Każdy kierownik chce mieć nowe sprzęty w klasach, ściany pomalowane „po pikasowsku” (tzn. kolorowo — Picasso dostąpił ataku wątroby na wieść, z czym kojarzy się jego nazwisko), a nawet ubikacje odrestaurowane.

Oczywiście część finansów jest zaplanowana, reszta zależy od pomysowości kierownika szkoły. Nierzadko pomaga mu gromadzka rada, komitet rodzicielski dołoży trochę grosza, ale najczęściej gotówki dają organizowane przez szkołę imprezy, loterie, seanse filmowe, zabawy. Tylko niestety te ostatnie opierają się na bufcie, dobrze zaopatrzonym, oczywiście w wino, nieraz i w wódkę. Cel uświęca środki.

Nie zawsze pieniądze gwarantują wykonanie prac remontowych, w grę wchodzi różne czynniki i czasem łatwiej wygospodarować fundusze niż je upłynić. Oto surowy księgowy żąda, w myśl przepisów, powierzenia malowania placówek spółdzielczej. Przyjeżdżają trzy indywiduala z odległego miasteczka, mieszają farby, paćkają wapnem wszystko, co na drodze. Wreszcie napocznają dwie „ćwiartki” i odchodzą na stację, bo już jest po trzeciej. Przez następne tygodnie nie zjawia się nikt, z telefonu dochodzą tłumaczenia, że nawet pracy. Ostatecznie, na kilka dni przed nowym rokiem szkolnym, kierownik przypomina sobie, iż podczas okupacji próbował również zawodu malarza, prosi więc o pomoc sekretarza partii, jednego z radnych i we trójkę, nocami — żeby autorytet nie ucierpiał, malują co brudniejsze klasy. Kończą na czas, a pieniądze zabiera oczywiście spółdzielnia, bo księgowość prowadzi tam najlepszy specjalista.

To drastyczny przykład, ale faktem jest, że remonty szkół przeciągają się w nieskończoność. Widocznie przedsiębiorcy mają niemiłe wspomnienia z lat szkolnych. W dodatku prace wykończeniowe, jak malowanie drzwi, okien, mycie podłóg, z zasady przypadają w udziale nauczycielom, bo tylko im zależy, aby dzieci zastały czystość i porządek. Urwanie głowy zaczyna się przy uzupełnianiu sprzętu. Brakuje na przykład odpowiednich ławek, przychodzą jednakowe dla klasy pierwszej i siódmej, a stąd już tylko krok od różnych skrzywień kręgosłupa. To znów nie ma tablic lub wieszaków. Niby drobnostka, ale spróbujcie wykladać bez tablicy matematykę, odszukajcie ucznia wśród sterty plaszczy na ławce. Nowe trudności przyniósł ze sobą obecny system zaopatrzenia w książki szkolne. Cóż pomogą wysiłki nauczycieli i księgarzy, jeżeli nakład jest zbyt niski, lub co gorzej książka znajduje się dopiero w druku.

Trudności zawsze jest dużo, na szczęście nie występują one razem, czasem można ich w ogóle uniknąć. Niemniej fakt, że mimo wszystko istnieją, powinien wywołać rumieniec wstydu. Potrafimy zadziwić świat budową tysięcy szkół, ale do rangi problemu urasta dobre zaopatrzenie ich w kredę do pisania. Chyba pora na poważniejsze kłopoty.

ŚLEDZĘ w dziennikach i tygodnikach artykuły o tematyce pedagogicznej, szkolnej i poruszającej to wszystko, co ma luźny lub trwały związek z wychowaniem i nauczaniem młodego pokolenia. Uważam, że wszyscy zaangażowani zawodowo i dodatkowo w sprawach naszej ciągle kształtującej się myśli pedagogicznej mają bardzo dużo racji, jeżeli mówią o wspólnej odpowiedzialności — rodziców i nauczycieli za wyniki pracy w szkole. Wydaje mi się jednak, że coś nie jest w porządku z powszechnością odczucia tej racji. Paradoxem wszędzie znanym jest fakt, że tak w środowisku wielkomiejskim, jak i w wiejskim, o tej współodpowiedzialności mówi się na oficjalnych zebraniach, przytakuje się na „wywiadówkach”, ale już w rozmowie w cztery oczy z wychowawcą klasy rozkłada się ręce, a w domu najczęściej się o niej zapomina.

Nasze szkoły dają sobie jakoś z tym kłopotem radę i niedobory w remanentach na odcinku „kontaktów” z domem uczniów zaniedbanych” kłajstrują nadwyżką z odcinka współpracownicy z aktywnym rodzicielskim, który nawet w najcięższych warunkach można jakoś, jak śmietankę z najchudszej mleka, zebrać. Wszystko jest więc dobrze. Przy szkole kręci się mniejsza lub większa gromada

WSPÓŁ- ODPOWIE- DZIALNOŚĆ

ADAM OWSIKOWSKI

osób, należących do komitetu rodzicielskiego, układa plan pracy, żyje problemami szkoły i ze zmiennym szczęściem boryka się z tym brakiem odczucia współodpowiedzialności. Czy ten paradoks będzie jeszcze długo zlem koniecznym, czy potrafiemy zespolonymi wysiłkami (nie tylko samej szkoły) ustawić jakiś front w walce o usuwanie go — jest kwestią dobrych albo złych wyników pracy szkolnej.

W numerze 35 tygodnika „Polityka” z dnia 1 września br. ukazał się artykuł zatytułowany „Wychowawcom do sztambucha”. Autor w pewnym miejscu mówi o konieczności przekonania młodzieży, że „by sprostać wymaganiom współczesności, musi uczyć się coraz lepiej, zdobywać coraz więcej wiedzy”. Rozumiem, że słowo „wychowawcom” w tytule oznacza nie tylko nauczycieli, ale i rodziców. Mam jednak pewne rozeznanie, że w niektórych naszych środowiskach rodzicielskich sprawy poruszane przez autora są bliskie tylko w specjalnych uroczystych dniach. Tymi dniami są zakończenia roku szkolnego, kiedy cała rodzina oczekuje promocji dziecka do wyższej klasy i egzaminy absolwenta szkoły podstawowej do liceum, a maturzysty do szkoły wyższej. Trzeba bezsprzecznie przyznać, że mamy wiele środowisk, w których jest prawie dobrze ze współodpowiedzialnością rodziców. Fakt jednak istnienia przysłowiowych „białych plam na mapie” odnośnie tego zagadnienia nie może być obojętny przy ustawianiu „produkcji szkolnej”. Od roku 1961 szereg powiatów w Polsce przeprowadza tak zwane „eksperymenty kulturalne”. W akcji podnoszenia wiedzy i kultury środowisk wielką rolę odgrywają odczyty TWP, w których poczesne miejsce zajmują pozycje pedagogiczne. Nauczycielstwu borykającemu się z kłopotami „pedagogizacji rodziców” przybył dobry sojusznik. W wielu powiatach pomoc TWP przyczynia się walcnie do lepszego zainteresowania się sprawą należytego wychowania dziecka. Wielu rodziców z zażenowaniem dowiedziało się, że właściwie mało wie o naturze biologicznej i fizjologicznej dziecka, o sposobach racjonalnego odżywiania i organizacji dnia, a już zupełnie nic o sferze myślenia i rozumowania. Takim jaskrawym objawem tej ostatniej niewiedzy jest pokutujący na naszej wsi pogląd, że jeżeli dziecko zapamiętało łatwo wiele wierszyków, to w szkole powinno się dobrze uczyć,

W planacji pracy wielu szkół przewija się sprawa pedagogizacji rodziców. Powiedzieć trzeba z dumą, że w porównaniu z czasami odległymi jeszcze o 10 lat wstecz nie jest to już problem ustawiony tylko formalnie. Ma oczywiście jeszcze wiele braków; jeszcze z winy niedoświadczenia organizatorów nie może liczyć na trwałość zainteresowań, jeszcze trudny jest do przestawienia sposób myślenia samych rodziców. Jedno jest jednak w tym pewne: szkoły nasze nie zrezygnują z tego odcinka w swej pracy. A w przyszłości do grona ich sojuszników w tych wysiłkach będą musiały wejść organizacje zawodowe, kobiece i młodzieżowe. Paradoxa zachodzący między wielkimi planami ulepszenia naszego systemu wychowawczego a brakiem powszechnej odpowiedzialności nie może być wieczny.

Przy końcu września zadzwoniła do mnie szkoła podstawowa w Michowie. Zastępca kierownika opowiedział mi o zajściu, które mnie, jako nauczyciela, zawydzilo. Zawstydziliem się za własne środowisko. Sprawa typowa. Zwykle ordynarne obrzucenie ludzi kamieniami. Iż to kamieni na naszych drogach i uliczkach rzucanych jest beztropko. Nauczyciele z Michowa przyjechali z uczniami na film „Krzysztof”. Seans był wieczorem. Kilku wyrostków lubartowskich chciało wejść za przybyszami do kina „na gapę”. Nie udało się. Zaczęli więc i obrzucili odjeżdżające samochody kamieniami, raniąc jedno dziecko w głowę. Trzeba było zatrzymać się koło szpitala. Kiedy lekarze udzielali pomocy, ulicznicy lubartowscy czekali jeszcze, grając dalej kamieniami. Nauczyciele zadzwonili więc do posterunku MO. Tam jednak był tylko jeden dyżurny, który obiecał, że zabmie się tym, ale dopiero na drugi dzień. Dzwoniono więc i do Komendy w Lublinie, bo napastnicy stawali się bardziej agresywni. Tymczasem sama obsługa samochodów ujęła dwóch i odprowadziła na posterunek. Wycieczka wróciła z tego powodu do Michowa w nocy, o kilka godzin później niż miały to miejsce bez „przygody” w gościnnym, powiatowym mieście.

Okazało się, że bandzie uliczników przewodził chłopiec, który nie ukończył jeszcze klasy szóstej. Dla problemu bez znaczenia jest to, że nie jest on uczniem mojej szkoły. Mógł nim być, pochodził przecież z tego środowiska. Ojciec odbywa karę więzienia, a matka nie może sobie z dzieckiem poradzić. Nie znam tej matki, ale znam szereg innych matek i ojców, z których dziećmi trudno się w szkole układać. W większości wypadków wszyscy oni nie mogą sobie ze swymi pociechami poradzić, kiedy trzeba ustawić codzienne przychodzenie do szkoły, systematyczną pracę w szkole i kulturalne w niej zachowanie się.

Jest w Lubartowie w czterech szkołach około 60 nauczycieli. Są między nami ludzie zmęczeni pracą, są mało doświadczeni. Ci pierwsi mają jeszcze w pamięci własne wysiłki i sporą dozę praktyki. Ci drudzy mają dużo dobrych chęci. Jednak doznania pedagogiczne tych i tych uzewnętrzniają się w jakiś dziwny sposób. Nazwałbym czasem ten sposób metodą „strusiego chowania głowy w piasek”, czasem wygodnego patrzenia ponad to wszystko, co się na ziemi, wśród dzieci i młodzieży dzieje, czasem wreszcie metodą gorzkiego przeświadczenia, że nasze wysiłki nie już tu nie poradzą.

W roku 1961, z inicjatywy Komitetu Miejskiego PZPR, zwołane zostało w Lubartowie zebranie w sprawie jednolitości postępowania w pracy wychowawczej z młodzieżą. Myśl była piękna, ale organizacja szwankowała. Były pierwsze dni wakacji. Nauczycieli przyszło tylko kilku. Przybył komendant miejscowego posterunku MO, ktoś z Wydziału Oświaty i jeszcze parę osób. Razem kilkunastu uczestników, z których kilku bardzo luźno związanych ze szkołą. Wygłoszono referat o kłopotach z wychowaniem młodzieży. Była dyskusja, w której trochę demagogicznie wystąpiono w „obronie młodych”. W rezultacie szkoda było czasu darmo straconego. Nic konkretnego nie uchwalono. A życie i chuligani (bo właśnie nimi należy się konkretnie zająć) potoczyły się swoją drogą, czego dowodem jest przygoda szkoły michowskiej.

Niektóre nasze miasteczka noszą na sobie dziwne piętno: nadmierne halasy i wrzaski dziecięcych gromad. W naszym mieście piętno owe jest wprost niesamowite. To już nie sprawa braku wystarczających placówek na zabawy dla dzieci. To jakaś „znieczulica” rodziców, którzy nie dbają o to na własnych podwórkach, nie mogą sobie poradzić na ulicy i nie wiedzą nic o podobnym zachowaniu się ich pociech w szkole. Kiedy się o tych sprawach mówi na zebraniach rad klasowych i przy innych okazjach, wszyscy uznają, że mamy rację. W domu jednak nie się w tym względzie nie robi. Nie ma na to czasu. Ostatecznie niech się dziecko wyrzeczy, to jest w domu spokojniejsze. W jednej ze szkół w naszym mieście zdarzyło się raz

Porównano niedawno Uniwersytet Ludowy w Rożnicy do latarni wysyłającej swe światło na prze-morskie. Metafora byłaby zgrabna, gdyby nie nasuwała myśli, że poza Rożnicą, dokoła zalega mare tenebrarum, a tak jednak dzisiaj bynajmniej nie jest. No i Waldemar Babinicz, dusza rożnickiego UL, na pewno nie antyteza samotnika, nie przemawia do swych podopiecznych staropolszczyzną Wujka, tylko językiem całkiem nowoczesnym, posługując się — przypuszczam — w razie potrzeby barwną mową młodych bohaterów swojej znakomitej powieści „Obecny”. Tędy powiedzmy raczej zwyczajnie, bez metafor, że ktokolwiek chce pisać o życiu kulturalnym Kielecczyzny — po prostu musi zacząć od Rożnicy, jako od punktu wyjściowego najcenniejszych inicjatyw kulturalno-społecznych tego regionu.

Ja również stąd rozpoczęłam poznawanie Ziemi Kieleckiej. Po raz pierwszy zostałam zaproszona do Rożnicy w zeszłym listopadzie, na sympozjon poetycki „Poniedział”. Wytrwały Czytelnik „Kamień” pamięta, że „Poniedział” (od rzeki Nida) wyłoniło się z kół przyjaciół poezji, które powstały pod egidą ZMS w różnych ośrodkach kieleckich. Literacka grupa młodych Kielecczyzny skonsolidowała się właśnie w krzepiącym klimacie intelektualnym i uczuciowym Rożnicy, gdzie blisko dwadzieścia lat prowadzi kursy i seminaria dla inteligencji wiejskiej Waldemar Babinicz i dzieląca z nim trudy wychowawcze małżonka jego, Pani Helena. W gruncie rzeczy słowa „kursy”, „seminaria” są zbyt obiegowe, by oddawały głęboki sens tego, co się tam dzieje. Stamtąd się wycina wiarę w najlepsze możliwości naszej dzisiejszej młodzieży, a również przekonanie, że młodzi, którzy się zetknęli w UL z prawdziwą sztuką, staną się w swym otoczeniu czynnikiem kulturotwórczym.

Toteż rokrocznie liczni wybitni i dostojni goście zjeżdżają chętnie pod kasztany Rożnicy, pod dach jej domu otwartego dla ludzi przejętych sprawami kultury. Parę tygodni temu moja skromna osoba brała zaszczytny udział w uroczystości jubileuszowej z okazji ukazania się dziesiątej książki Waldemara Babinicza. Było to bardzo miłe, ani trochę nie uszywnione, spotkanie władz kieleckich, działaczy terenowych, młodych poetów oraz kilku starszych pisarzy i artystów, przyjaciół gospodarzy. Takie świadectwa uznania dla wzoru działalności kulturalno-oświatowej wypracowanego w Uniwersytecie Ludowym Rożnicy są niewątpliwie cenną prognozą.

Po rożnickim zastrzyku optymizmu wypadło mi skoczyć do Lublina, a w dwa dni później znalazłam się już w autokarze obwozującym po szlakach Kielecczyzny dziennikarzy z całej Polski. Teraz można było poznać jako tako głębię, z której wyrósł ten piękny kwiat — Rożnica.

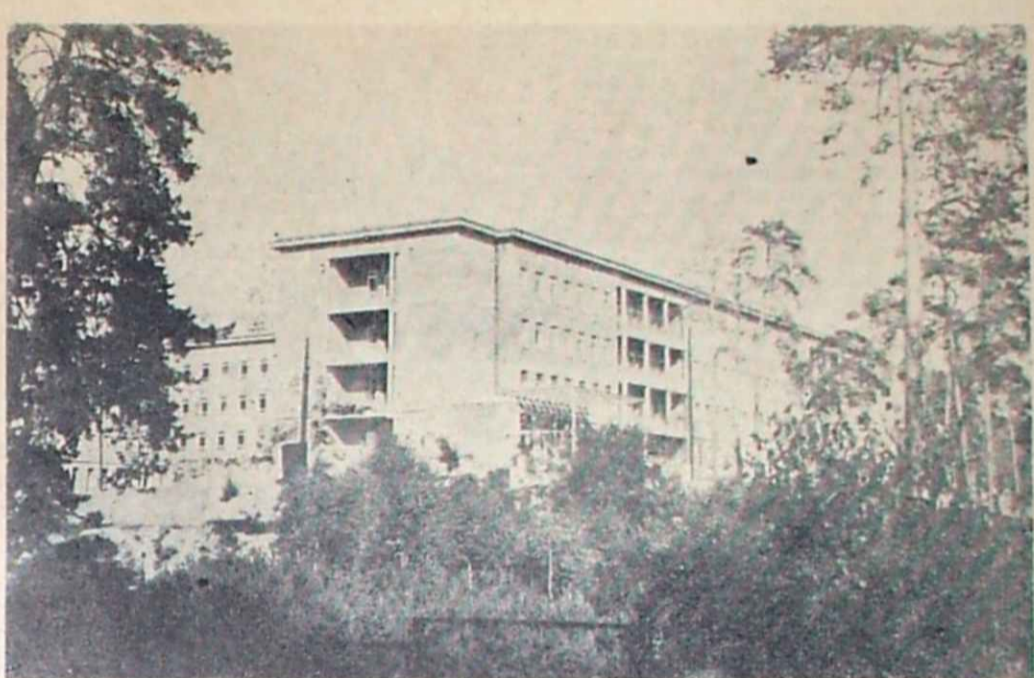
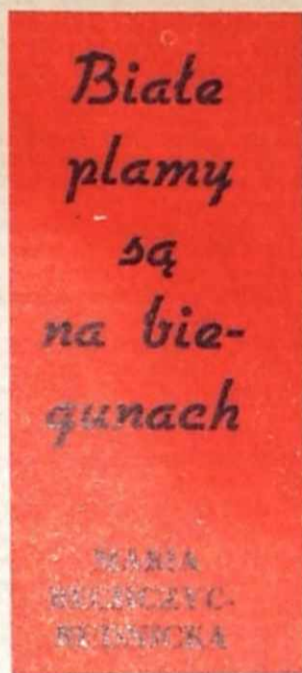
Cztery miesiące temu wiele szumu narobiła „Współczesność”. Listem otwartym do Przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach Czesława Domagały. Po urlopach przewodniczący odpowiedział w tejże „Współczesności” na zarzuty autora „Listu” i wyduje mi się, iż taka wymiana zdań na lamach poczytnego pisma, nawet odbierana przez niektórych czytelników jako sensacja, jest nader pożyteczna choćby dlatego, że stawia region w centrum uwagi całego kraju.

Rajd dziennikarzy był tedy jak najbardziej na czasie i trzeba przyznać, że uczestnicy jego, którzy wypełnili błękitny autokar zdobny w kołkietyjne zastanki, wyruszyli sprzed monumentalnego, nowo wybudowanego w Kielcach Hotelu Centralnego, ożywieni szczerą ciekawością, jakże się dzisiaj rzeczy mają naprawdę z tą kulturą na ziemi Jana Chryzostoma Paska, Reja i Kochanowskiego, Staszica, Kolberga, Zeromskiego, Dygalskiego i wielu jeszcze innych luminarzy polskich.

Organizacja rajdu była zdumiewająco sprawna. Już nie mówię o gościnności kielczan, o kompetencji towarzyszących nam informatorów, — największy podziw budziła obfitość dostarczonej dokumentacji. Wystarczy gdy powiem po babsku: broszur, zdjęć, sprawozdań dostałam tyle, że urwały mi się (dosłownie!) ręczki od mojej pseudonylonowej siatki. Można by sygnalizować jak z rękawa liczbami z tych papierów i wyglądałoby to w szpalcie dość efektownie. Ale po co? Kiedy

laicy operują statystyką na wyrwyki, ma to posmak naiwnego zdołnictwa i poważny czytelnik nie da się tym omamić. Wolę więc polecić mu po prostu bardzo solidną pracę Wincen-tego Kawalca „Kielecczyzna — Rozwój gospodarzy regionu”, która ukazała się w tym roku nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszawie.

Właśnie po „linii” gospodarczej zaplanowano nasze wędrowki dziennikarskie, tedy o kulturze *sensu stricto* niewiele było mowy. Ale czyż dobra gospodarka i kultura nie stanowią nierozrwalnej całości? Spróbujcie tworzyć kulturę bez bazy materialnej. Gdyby się znalazł taki nierozważny planista, zaraz by go zakrzyczano: — A mieszkania dla twórców? A sale na imprezy? A autobusy na dowóz teatru, orkiestry itd.? A drogi?... Prawda, że i bez tego wszystkiego próbowano szerzyć kulturę, ale też szerzyła się niezbyt szeroko, a rezultatem były lamenty nad zacośnieniem kulturalnym tej lub innej polaci kraju.



Nowy szpital w Ostrowcu Świętokrzyskim

Sprawa lamentów. Muszę wyznać, że nie wytrzymuję nerwowo oklepanego powiedzonka „białe plamy na mapie”. Uważam tytuł skądinąd pożytecznego cyklu radiowego za wręcz chybiony, urągający bohaterskim, 18-letnim wysiłkom wielu ofiarnych, nawet nie znanych nam z nazwiska, działaczy kulturalno-oświatowych Polski wschodniej. Oczywiście jest to horrendum, że biblioteka gromadzka w Bielinach sąsiaduje z „chlewem” (informacja „Słowa Ludu”, 1962), ale przeczytajcie w niniejszym numerze „Kamień” na stronie 4 artykuł Jacka Wojciechowskiego. A przeciw nikt nie powie o „białych plamach” na mapie województwa krakowskiego. I nikt nie powie o „białych plamach” na planie Warszawy.

Niestety tak już jest, że mając odpowiednio fundusze można szybko zbudować potężną fabrykę, lecz za żadne pieniądze nie stworzy się w tempie błyskawicznym kultury powszechnej (choć znowu, powtarzam, bez bazy materialnej nie stworzy się jej w ogóle). Nie ma takiego fakira na żadnym szczeblu administracyjnym, który by potrafił wyhodować rozłożyste drzewo kultury na oczach jednego pokolenia. Nie operujemy tedy demagogicznymi frazesami, tylko konkretnymi możliwościami.

Awięc oglądaliśmy to, co nam pokazano. Kieleckie liczy 19 powiatów, 5 miast wydzielonych, sporo miasteczek i osad i, jak każde województwo, mnóstwo wiosek. Co można zobaczyć w czasie 3-dniowej wędrowki, inaczej mówiąc — w ciągu 33 godzin, z których mniej więcej osiem spędzamy na spotkaniach przy stole biesiadnym? Ano przede wszystkim pejzaż. Raczyliliśmy się dowoli przepięknym jeziennym krajobrazem kieleckim. Patrzcie uzupełniał się słuchaniem. Raz po raz pada przez megafon autobusowy wiadomość: — O lks kilometrów na prawo (na lewo) buduje się cegielnię (cementownię... cukrownię...). Wierzmy, naprawdę wierzymy, bo ten wielki ruch budowlany wyczuwa się nawet na odległość. Najbardziej konkretny staje się on na drugi dzień w Ostrowcu.

Tegoż dnia rano oglądaliśmy Starachowice. Chyba ze dwie godziny —

ślesznie krótko. Oczywiście komuś, kto jak ja zna się tylko na maszynie do pisania i cokolwiek na maszynach drukarskich, gigantyczne zakłady starachowickie, posiadające wielkie tradycje, muszą zaimponować, ale czy są w większym stopniu zautomatyzowane, unowocześnione — to już temat nie dla mnie, o tym niech pisze kto może w „Polityce” lub „Przekroju Kulturalnym”. Zresztą zakłady starachowickie są w gestii centralnej.

Lecz jest inna sprawa. Mnie się na przykład bardzo podobała kawiarnia w zakładowym Domu Kultury, gdzie odbywaliśmy konferencję prasową — bynajmniej nie nudną. Chciałabym, żeby Lublin miał chociaż jedną kawiarnię urządzoną przez miejscowego artystę z takim komfortem i wyborowym smakiem. Otóż w Starachowicach uwydatniła się już wyraźnie rola zakładów pracy jako ognisk kulturotwórczych w środowisku. Stawialiśmy dotąd w Lubelskiem na szkołę, na rozpowszechnienie eksperymentu lubartowskiego. Na pewno słusznie, jednak

głoby uzupełnić osiedle LSM, z którego jesteśmy tak dumni w Lublinie. A jest ich bardzo dużo. Na pewno nie przesadzę, gdy powiem, że Ostrowiec był olśnieniem.

Lecz nie tylko Ostrowiec Świętokrzyski zaprzecza frazesowi o „białej plamie”, wiele osad i miasteczek Kielecczyzny zmieniło swój wygląd. Świadczą o tym równoległe zdjęcia tych samych miejscowości. Oto np. niechlujny rynek zatłoczony wozami, a oto uporządkowany plac rynkowy, z trawnikami, kwiatami i ławkami. W Kazimierzy Wielkiej czynem społecznym urządzono ładny park z rabatami i boiskiem sportowym, a tuż w pobliżu zamieniono cuchnące bagno w zalew. I to też jest kultura, kultura na co dzień.

Nie ulega wątpliwości, iż czyn społeczny stał się potężną dźwignią postępu na Kielecczyźnie. Poza jej intensywnym przemysłowym, największa przemiana dokonała się na jej drogach, gdzie właśnie czyni społeczne odgrywają dużą rolę. Budowa

dobrych dróg to sprawa, jak wiadomo, doniosła. Zaryzykowałabym twierdzenie: na bezdrożu kultura schodzi na manowce. Cóż z tego, że gdzieś się wznosi reprezentacyjny obiekt kulturalny, jeśli aktowi erekcyjnemu nie towarzyszy troska o dojazd. W tym wypadku, niestety, placówka obliczona na masową frekwencję będzie skazana na ruch luzowy.

Nie wymieniam wszystkich widzianych w ciągu dwóch dni miejscowości. Chodziło mi tylko o ukazanie na paru przykładach niektórych cech charakterystycznych dzisiejszej Kielecczyzny, świadczących o jej dynamizmie społecznym. Trzeciego dnia zaplanowanych „wędrowek” odłączyłam się od grupy, bo pojechałam do Sandomierza i na Sw. Krzyż, a ja właśnie tam byłam przed kilku tygodniami z zespołem technicznym Teatru im. Osterwy. Zebrawszy garść wiadomości gospodarczych o województwie, wolalam teraz spenetrować trochę życie kulturalne jego stolicy. Przyznam się, że same Kielce wydały mi się mniej interesujące. Mam nawet wrażenie, iż na Ziemi Kieleckiej nastąpiła *suu generis* decentralizacja kulturalna. Nie mówię już o Radomiu, jego rywalizacja z Kielcami jest szeroko znana. Ale weźmy te Starachowice. Czyż nie jest faktem znamionem, że właśnie tutaj, a nie w Kielcach, otwarto Międzynarodowy Klub Książki i Prasy? Albo że w poszczególnych miastach wydzielonych Kieleckiego biblioteki miejskie mają lepsze warunki lokalowe, niż wojewódzkie centrum administracyjne. Jak na stolicę województwa, Kielce są chyba za mało reprezentacyjne. Nie słyszałam tujszej orkiestry symfonicznej i nie chcę wdawać się w komeraże, nie kwapiłabym się do jednostronnego wskazywania winowajców kryzysu dyrygenckiego, orkiestrze łatwo się narazić. Lublin też w swoim czasie stracił na skutek zatargów i intryg dobrego dyrygenta Zygmunta Szczepańskiego, a potem wybitnego, uznanego za granicą, muzyka — Roberta Satanowskiego. Analogiczne tarcia wewnętrzne mogły się przyczynić do odejścia z Teatru Zeromskiego — Byrskich. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że otwar-

WOLNOŚĆ SZŁA ŁĄDEM I MORZEM

(Dokończenie ze str. 1)

ofiarowała się do Częstochowy. to powodu do dumy z racji wieku Konieczko nie ma raczej żadnego. Prawda natomiast jest, że Maria Konieczko zna aż osiem czy dziesięć języków. Och, nie dokładnie, rozumie się, ale tak piąte przez dziesiąte, jak powiada, bonjour, sacré blé, darling, mein Herr i jeszcze kilkanaście. Nauczyła się tych słów w swoich długich podróżach, nie, nie do wód, lecz „na Saksy”. Ledwie w siedem-nastym roku życia, jeszcze „za cara”, zdążyła posłubić swego nieboszczyka męża, ledwie dziesięć, u którego doła codziennie siedemnaście krów, zdecydował się, by przyjąć do pracy nowego parobka, a już świeżo upieczone małżeństwo znalazło się na liście zwerbowanych do pracy sezonowych robotników.

Zaczął się od Niemiec, ściśle od Prus Wschodnich, a później przysłał gładko niemal do wszystkich krajów europejskich, do Kanady i do USA. — Całe życie — rozumie pan — czterdziści lat służyłam u obcych. Byłam zdrowa, pracowita, wyspecjalizowałam się w kopaniu buraków, nikt nigdy nie potrafił mi dorównać. Bilam wszystkie rekordy. Mogłam zgięta w pół pracować niemal bez wytchnienia dwanaście godzin i więcej. Zaden pracodawca nie chciał nawet słyszeć o moim zwolnieniu. Ale odchodziłam bez wypowiedzenia. Co tam, mówiłam, świat szeroki, ręce mam mocne, na chleb wszędzie zarobię. Mąż ulegał, szedł za mną. Wędrowaliśmy sobie po świecie, zmienialiśmy pracodawców, śmiałyśmy się w nos agentom, którzy grozili, że nam nie zwrócą kosztów podróży. Dla zabawy, dla swawoli wykonywałam dwie dniówki dziennie, wracalam lekka z pola i mówiłam bauerom, herrom, madame'om i missom: „Dawajcie teraz podwójną porcję, wszystkiego, koniny też”. Bo trzeba panu wiedzieć, że w niektórych krajach karmili nas suszoną lub marynowaną koniną. Z początku nie chcieliśmy tego jeść, ale się potem człowiek przyzwyczail. Właściciele ziemscy twierdzili, że Polacy pracują wydajniej, jeśli przed pracą otrzymują ewiarke wódki. Dawano ją i mnie. Pierwszy raz, żeby uniknąć kompromitacji, wylałam pod stół, ale się później przyzwyczailam. Piłam na równi z mężczyznami. Czy rzeczywiście zwiedziłam szesnaście krajów? Może i więcej. Młodzi nazywają to turystyką. A ja, cóż mogę o tych krajach powiedzieć? Chyba tyle, że w niektórych ziemiach była lżejsza, w innych cięższa, więc i cięższa robota. Chyba tyle, że w jednym traktowano mnie jak człowieka, w innym zaś spałam w grudniu w nieopalanym baraku; w jednym plancono przy pożegnaniu całą zarobioną kwotę, w innych potrącano tyle, że ledwie starczało na bilet do granicy; w jednym nazywano mnie sezonową robotnicą, w innych, zależnie od usposobienia pracodawców i policjantów, niewolnicą, krową, „parą rąk”, gębą lub znacznie, znacznie gorzej. Nie chcę przy wnioskach powtarzać brzydkich słów. Więc taka była moja znajomość wielu krajów. Pytają mnie nieraz, czy prawda, że w Szwajcarii są góry nieboszczyne. A są, widziałam je, pamiętam. Kiedy rozprostowywałam grzbiet, podnosiłam głowę, by spojrzeć, ile mam jeszcze przed sobą zagonów do kopania, wzrok mój nieraz napotykał łańcuchy górskie, pokryte śniegiem, nie zawsze jednak byłam pewna, czy oczy mówią prawdę. Bywało, zrywałam się w nocy, biegłam nieprzytomna w pole, bywało, że zasypiałam w maligie widząc przed sobą niezliczoną ilość zagonów z gnijącymi burakami, których nie miałam już siły wykopać, mimo iż słyszałam za sobą wrzaski pracodawcy, iż sama miałam wyrzucić sumienia, że oto szczególnie ogromny majątek.

— Najedździłam się, panie, pociągami, statkami, nasłuchałam się i natrzymałam na życie, na ludzi, ich obyczaje. W tysiąc dziewięćset siedem-nastym płynęliśmy statkiem do Danii. Było nas kilkudziesięciu Polaków. Agent obiecywał nam w Danii złote góry. Z nami płynęli Włosi, Łotysze, Grecy, Hiszpanie. Na górnym pokładzie odbywało się gawłce przedstawienie, po którym kapitan zapraszał podróżnych na wielki bal.

Oczywiście w grę wchodziłi pasażerowie pierwszej i drugiej klasy. My, sezonowi robotnicy, jadący na koszt przedsiębiorstwa zajmującego się teoretycznie pośrednictwem pracy, a w praktyce po prostu handlem rąk roboczych en gros, nie liczyliśmy się wcale. Jechaliśmy stłoczeni, brudni, niewyspani, nawpół głodni. Był listopad, a myśmy marzli potężnie w niedogranych kajutach, w byle jakim przyodziewku. I nagle nie wiadomo skąd sfrunęła wiadomość. Rewolucja. Może ją przyniesli marynarze, może mewy, które gęsto obsiadały pokłady. Może kuchcik i chłopiec okrętowy, którzy okazywali nam najwięcej serca. Nie wierzyliśmy, co to słowo znaczy. Mężczyźni chodzili jak bledni i powtarzali w kółko: rewolucja, rewolucja. Musialo to słowo mieć utajony sens, skoro kapitan odwołał bal, a pięknych panów i strojne panie na górnych pokładach ogarnęła panika. Usłuźni ludzie wytłumaczyli nam krótko, że rewolucja znaczy koniec naszej niewierki, koniec kopania cudzych buraków, koniec tułaczki. Ach tak? Więc nie chcieliśmy płynąć do Danii. Uchwaliliśmy, że wracamy do kraju. Żądanie takie delegacja nasza przedstawiła kapitanowi. Nieprędko ustąpił, groził, że wysadzi nas przy pierwszej okazji na ląd, byle gdzie, w byle jakim porcie. Ale się w końcu zgodził. Mieliśmy z mężem wówczas około tysiąca franków szwajcarskich. Wysiedliśmy w Hamburgu i drogą okrężną przez Wiedeń wracaliśmy do ojczyzny. Wolnej, jak zapewniano nas wszędzie. I zaczęło się. Wymieniano nam te franki w Niemczech i w Austrii, i w Polsce. Wszędzie uczynni ludzie zapewniali, że „z grzeczności”. Aż wreszcie przywieźliśmy do rodzinnej wsi spory woreczek papierków, zwanych markami. Można było za nie kupić pieć, sześć kur. A w kraju, we wsi rodzinnej nikt o wolności jakoś nie mówił. Po dawnemu we dworze siedział dziedzic, po dawnemu ekonom rozdzielał o świecie pracę, po dawnemu pokpiwał z „rajzerów” i uwodził co urodziwsze kobiety. Byłam jeszcze ciągle w dobrej kondycji, wysoka, zwinna, narowista jak klaczka dzie-

dzica, ale i prędka. Zdzieliłam w łeb ekonomę, później rządce, który nadbiegł z odsieczą, a po trzech dniach przez zieloną granicę przedaraliśmy się znowu „na Saksy”. Po miesiącu wolnego życia w wolnym kraju. I tak już tułaliśmy się po świecie do końca, aż do wybuchu wojny.

Z Października, z owej Rewolucji pozostało nam jedno: hardość, poczucie godności ludzkiej. Kiedy było bardzo źle, kiedy obcy i swoi pomiatali, okpiwali, wyrzucali na bruk, kiedy policjanci, którzy byli zawsze w zmwowie z pracodawcami, zamykali w piwnicach lub odstawiali do granicy, jako niepożądanych, uciążliwych cudzoziemców — nas, którzy własnymi rękami oczyszczaliśmy obce kraje od chwastów — myśleliśmy o kraju, gdzie człowieka szanuje się tylko za pracę, za jego ręce, myśleliśmy o tamtym dniu na okęcie, kiedy mężowie nasi, sezonowi robotnicy, najemnicy, chodzili jak pijani i powtarzali ciągle: rewolucja.

A teraz, panie, jestem wolna. Tak właśnie powiedziała: wolna. Chociaż uwiązana na słupku wierciła się owieczka, „zaraza, tyle z nią kłopotów, wszystko zeźre”. chociaż rozmawiając ze mną co rusz chwytala się za głowę i powtarzała to swoje: „jeszczem nie napoiła, jeszczem nie nakarmiła, jeszczem gadzina w chlewie, krowę trzeba wygonić”.

Zęgnalem się z nią ceremonialnie, coś tam powiedziałam z patosem. Uśmiechnęła się. — Chciał pan poznać babkę, która wojażowała po świecie i była w Szwajcarii. Ano, poznał pan. Adieu, mon ami — do-dała, mrużąc oczy.

Siedemdziesiąt osiem lat? Nigdy bym jej tyle nie dał.

W powrotnej drodze spotykam dwóch młodych ludzi. Jednego znam: wnuk Marii Konieczko. — Był pan u babki? Naopowiadała panu, co? A my tu z kumplem robimy transakcję. Duża rzecz. Wymieniam eshaelkę na Junaka. Z dopłatą oczywiście. Na wiosnę pojedę w dalekie kraje. Szlakiem wielkich rejsów babki i dziada. Nie wierzy pan? Się zobaczy.

Waldemar Babinić

Z DNI WSPÓLNYCH WALK PRZECIW FASZYZMOWI

(Dokończenie ze str. 2)

W maju 1944 roku przybywają nad San dwaj oficerowie radzieccy ze zgrupowania partyzanckiego Karasiowa, którzy przeprowadzają rozpoznanie umocnień niemieckich na linii Rozwadów — Krzeszów. Pomagają im tam wydatnie partyzanci wchodzącego w skład I Brygady AL Ziemi Lubelskiej oddziału Straży Chłopskiej z Jarocina: Stanisław Młynarski („Kosynier”), Bronisław Smola („Cyran”).

Niezależnie od działań zwiadowczych partyzanci radzieccy dokonują wielu akcji zbrojnych i dywersyjnych. W jarosławskim organizują je wspomniane już oddziały Miodowa i Pawłowa. W lutym i marcu 1944 r. na terenie powiatu lubaczowskiego, jarosławskiego, leżajskiego i niżańskiego przebywa zgrupowanie Petra Werszyhory, słynna I Ukraińska Dywizja Partyzancka im. Kowpaka, która skutecznie niszczy tory kolejowe na liniach Jarosław — Rawa Ruska, Jarosław — Lwów, Rozwadów — Przeworsk oraz stacza kilka większych zwycięskich bitew z Niemcami m. in. pod Rudą Różaniecką, w Majdanie Sieniawskim, Dąbrowicą i Ozanną, w Krzeszowie i Ulanowie. Oddział tego zgrupowania ogniem armatnim niszczy część budynków elektrowni Stalowej Woli, przerywając na dłuższy czas dopływ energii do zakładu hutniczego.

W kilka miesięcy potem wypadów na tereny położone nad i za Sanem dokonują grupy ze stacjonujących na Lubelszczyźnie oddziałów radzieckich Mikołaja Prokopliuka, Wiktora Karasiowa, polsko-radzieckiego oddziału Mikołaja Kunickiego i innych, które wielokrotnie niszcza tory kolejowe, likwidują placówki i posterunki niemieckie, atakują kolumny samocho-

powo, później rządce, który nadbiegł z odsieczą, a po trzech dniach przez zieloną granicę przedaraliśmy się znowu „na Saksy”. Po miesiącu wolnego życia w wolnym kraju. I tak już tułaliśmy się po świecie do końca, aż do wybuchu wojny.

Sierpień 1944 roku przynosi wyzwolenie całej północnej i środkowej części dzisiejszego województwa rzeszowskiego, a jednocześnie przenosi cały ciężar walki partyzanckiej na tereny południowe. Tutaj właśnie na obszarze od Ustrzyk po Gorlice skupia się działalność partyzantów polskich i radzieckich oraz zrzuconych stale na spadochronach grup dywersyjnych.

W rejonie Ustrzyki Dolne — Zagórz w ciągu lata i jesieni operuje oddział im. Pożarskiego pod dowództwem „Wolodi” (Leon Berensztajn), dalej na zachód działają partyzanci Leonowa. W jasielskim i gorlickim walczy oddział AL pod dowództwem Michała Dońskiego, składający się z Łemków, Polaków, obywateli ZSRR, Słowaków i Żydów. Współpracuje on ściśle z oddziałami radzieckimi Leonowa, Zołotara i Hładilina oraz grupą, a następnie brygadą, partyzancką im. K. Gottwalda, dowodzo-

SPOTKANIE W ODESSIE

STANISŁAW SWIERAD

P O RAZ pierwszy spotkałem go, zresztą zupełnie przypadkowo, w redakcji „Czarnomorskiej Komuny” w Odessie. Gdy Włodzimierz Hetman dowiedział się, że jestem polskim dziennikarzem, powiedział:

— Koniecznie chciałbym się z wami spotkać. Jeszcze — oczywiście jeśli to wam nie sprawi trudności — dzisiaj.

Przyznam się, że początkowo chciałem się jakoś „wykreślić”, ponieważ miałem bardzo mało czasu (na Odessie zaledwie trzy dni) i jak najszybciej, przynajmniej na dwa dni, chciałem zaglądnąć do Lwowa.

— A z jakiego miasta pochodzicie? Z Warszawy?

— Nie, z Białegostoku.

— Z Białegostoku? Naprawdę? Po-czekajcie, wrócę za pięć minut. I mój przygodny znajomy, młody, i jak się później dowiedziałem od kolegów-dziennikarzy z „Czarnomorskiej Komuny”, jeden z najzdolniejszych odeskich poetów, jak strzela wybiegł z budynku przy ulicy Puszkina 32. Cóż miałem robić, czekałem.

Włodzimierz Hetman dotrzymał słowa. Dosłownie za kilka minut, zdyszany, trzymając w ręku dwie małe książeczki, zaczął opowiadać mi przygody, jakie mu się przydarzyły

(Dokończenie na str. 7)

JÓZEF JANOWSKI

Szosa w dolinie śmierci

Szosa w dolinie
Od niej są mgły
na północ
szare
Toczyła się o tę dolinę
śmierć
w czterdziestym czwartym
aż
zawleczone
w odpoczywanie
zeczerności gestwin
w nocy stromiznach
rozwieszona witraże
i w bruzdach zakrzywienia
ocaleniem staje
nad czerwonością
gór

Szosa w dolinie
dojrzewania
Na wprost zbliżeń
na odległość barw
w orszaki
ukłonów spadająca
Od łuku do łuku
faliście odchyłona
Niezim w skwar
po obu brzegach
płynna
i już
biało czerwona
za Barwinkiem
czeska

Krosno, 6 października 1962,
w 18 rocznicę walk o Dukieliszczyznę

oną przez Władysława Kwityńskiego. W czasie operacji dukielskiej AL-owcy ci współdziałają z operującą na zapleczu niemieckim konną grupą armii radzieckiej gen. Baranowa, a następnie uczestniczą w walkach na terenie Słowacji.

Działalność partyzantów radzieckich w Rzeszowskim miała znaczenie nie tylko natury wojskowej. Podnosiła ona na duchu ludność, nekana przez hitlerowców i faszystów spod znaku OUN, ożywiała jej nadzieje na wyzwolenie. Wśród społeczeństwa krążyły legendy o wycynach „ruskich”, rodziła się sympatia, przekształcająca się w przyjaźń i współpracę. W lasach oleszyckich i bieszczadzkich, nad Sanem i na Podgórzu zacieśniały się we wspólnej walce z wrogiem więzy braterstwa i przyjaźni obu narodów.

Witold Szymczyk

SPOTKANIE W ODESSIE

(Dokończenie ze str. 6)

w czasie ostatniej wojny na Białostoczczyźnie.

— Moja jednostka wojskowa — opowiadał Włodzimierz Hetman — stała w Szczuczynie, a później w Grajewie. Tam zaprzyjaźniłem się z wieloma Polakami. Gdy wybuchła wojna w roku 1941, dostałem się do niewoli niemieckiej w okolicach Grodna. Niemcy prowadzili nas w kolumnie w kierunku Prus Wschodnich. Od kilku dni, mimo forsownego marszu, nie dawali nam jeść. Wszyscy ślanialiśmy się na nogach z wyczerpania i głodu.

Mój rozmówca głęboko się na chwilę zamyślił. Powracał chyba myślami jeszcze raz do tych tragicznych dni. Po chwili kontynuował swoje opowiadanie:

— Przechodziliśmy właśnie w kierunku Grajewa, dobrze znałem te okolice z ćwiczeń wojskowych. W jednej ze wsi spotkaliśmy grupę ludzi, którzy chcieliby nam w jakiś sposób pomóc, ale bali się silnej eskorty esesmanów. I teraz zdarzył się wypadek, którego nigdy nie zapomnę. Z jednej chatki, krytej słomianą strzechą, wybiegła kobieta, a za nią dwoje małych dzieci, i podała mi kawałek razowego, wiejskiego chleba. Zobaczył to esesman. Zdjął z ramienia karabin, zbliżył się do strzału...

Włodzimierz Hetman nerwowo przetrząca kartki małej, oprawionej w płócienną oprawę książeczki.

— Posłuchajcie — mówi po ukraińsku. — Ten wiersz poświęciłem bohaterom — Polce.

Nie znam języka ukraińskiego, ale wiersz bardzo mi się podobał. Na moją prośbę poeta przeczytał go jeszcze raz. Później czytał mi fragment poematu, w którym jedną „pieśń” poświęcił Polce — Maryli. Z wierszy tych przebiła jakaś wielka sympatia do narodu polskiego, walczącego razem z ludźmi radzieckimi z barbarzyńskim hitleryzmem.

Na drugi dzień spotkaliśmy się z Włodzimierzem Hetmanem, autorem czterech interesujących tomików poezji, na Bulwarze Przymorskim, jednej z najpiękniejszych ulic Odessy. Poeta wypytywał mnie szczegółowo o współczesną poezję polską, o panujące w niej kierunki twórcze, o toczące się w naszej prasie literackiej dyskusje o poezji i malarstwie.

Ciekawe, ale Włodzimierz Hetman żywo interesuje się malarstwem. Zresztą, po przeczytaniu cudnych wierszy lirycznych, zrozumiałem jego ciekawość. Boż w wierszach Hetmana znaleźć można naddniestrzańskich i czarnomorskich „pejzaży”. Miłość do ojczyznej Ukrainy, ukośnienie malowniczej ziemi ukraińskiej — oto najczęstsze tematy wierszy Włodzimierza Hetmana.

Zgnałem się z nim jak ze starym znajomym. A przecież rozmawialiśmy ze sobą zaledwie dwie godziny!

Stanisław Świerad



Państwowy Teatr im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku: Konstanty Simonow: „Sumienie”

Wacławowi M. — poświęcam

Nie opuszczę Ciebie, miła, nie zostawię
Patrz, po niebie pomarszczonym płyną białe pawie

Choć po prawdzie to nie pawie — myszki białe
Patrzą na nie moje oczy zwilgotniałe

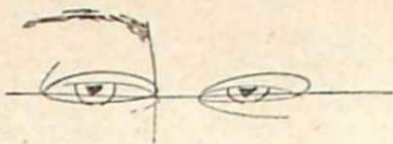
Jakieś iskry zapalają białe słońca
Pęk promieni w zygzak pełnie jak zaskronce

Oplatają srebrem światła kwiatów grzędy
Wybielone wapnem blasków jak na święta

Z barw wszelakich wypłukane stoją drzewa
Gdzieś daleko ponad morzem białe mewy

O północy serce ścisną cierpka żalność
A nad miastem lśni księżycą lepka białość

Splywa wolno w fałdy mózgu mego bramę
To Ty, miła, w sny me wkraczasz — Biała Dama.



WACŁAW GRALEWSKI

Wiersz biały

Z BIAŁOSTOCKICH WYSTAW

DOBRA tradycja staje się już, że Klub Międzynarodowej Książki i Prasy w Białymstoku udostępnił salę klubową na wystawy plastyczne i fotograficzne. Wprawdzie urządzone tam wystawy są raczej miłym uzupełnieniem wnętrza, niejako dekoracją sali, ale są też często tematem rozmów przy stoliku, a to już dobrze.

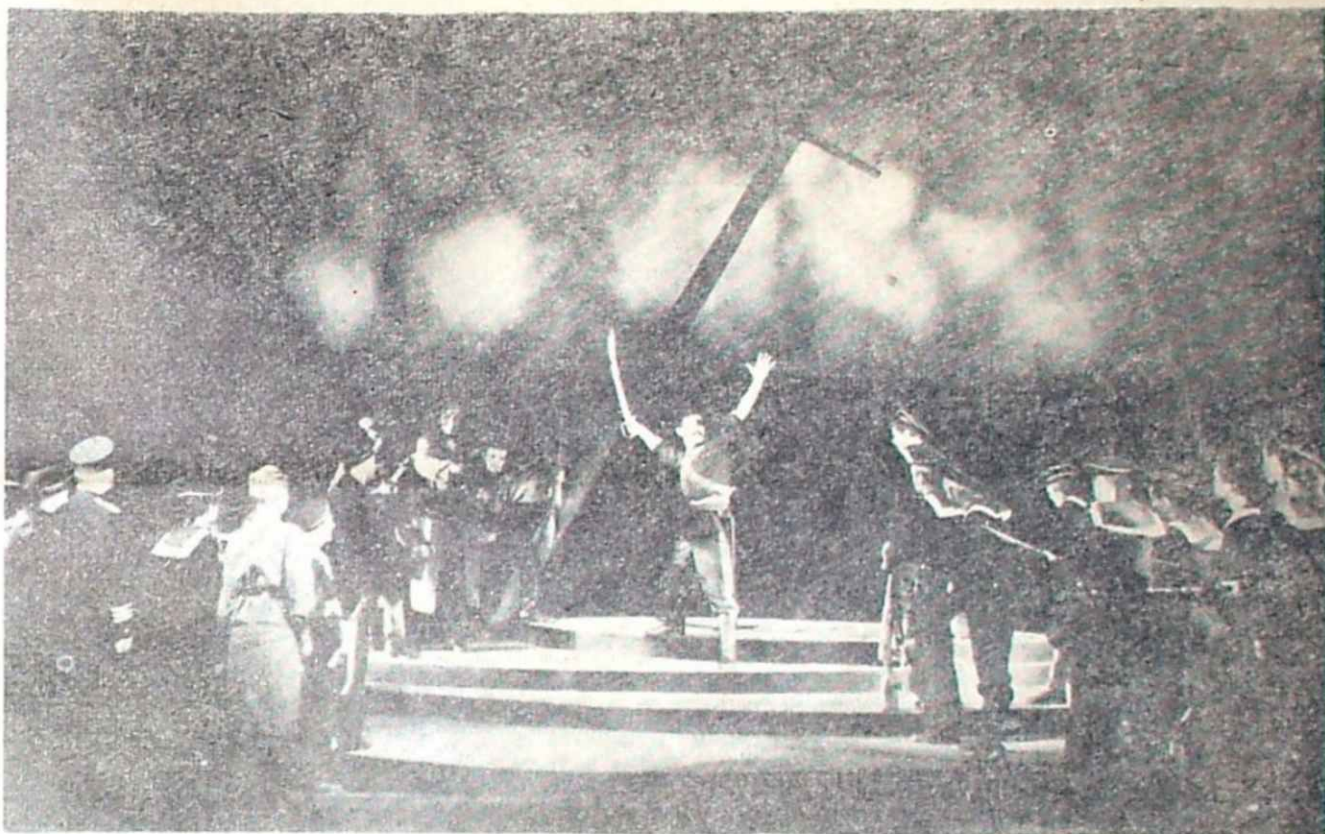
Chyba właśnie o to chodzi, aby nie przemijały bez echa, aby były zauważane i przyjmowane, choćby przez nie najliczniejsze grono. Tu mała uwaga: Czy ze względu na bywalców klubu, na owe niezbyt liczne grono odbiorców rekrutujące się przeważnie z ludzi z pewnym cenzusem wykształcenia, wystawy takie nie powinny być pokazem prób i poszukiwań ciekawych i nie najłatwiejszych?

Właśnie ostatnia wystawa grafiki Sławomira Chudziaka, która korzysta z gościnności MPiK jest taką wystawą. O niej rozmawiam z autorem jedenastu wystawionych prac.

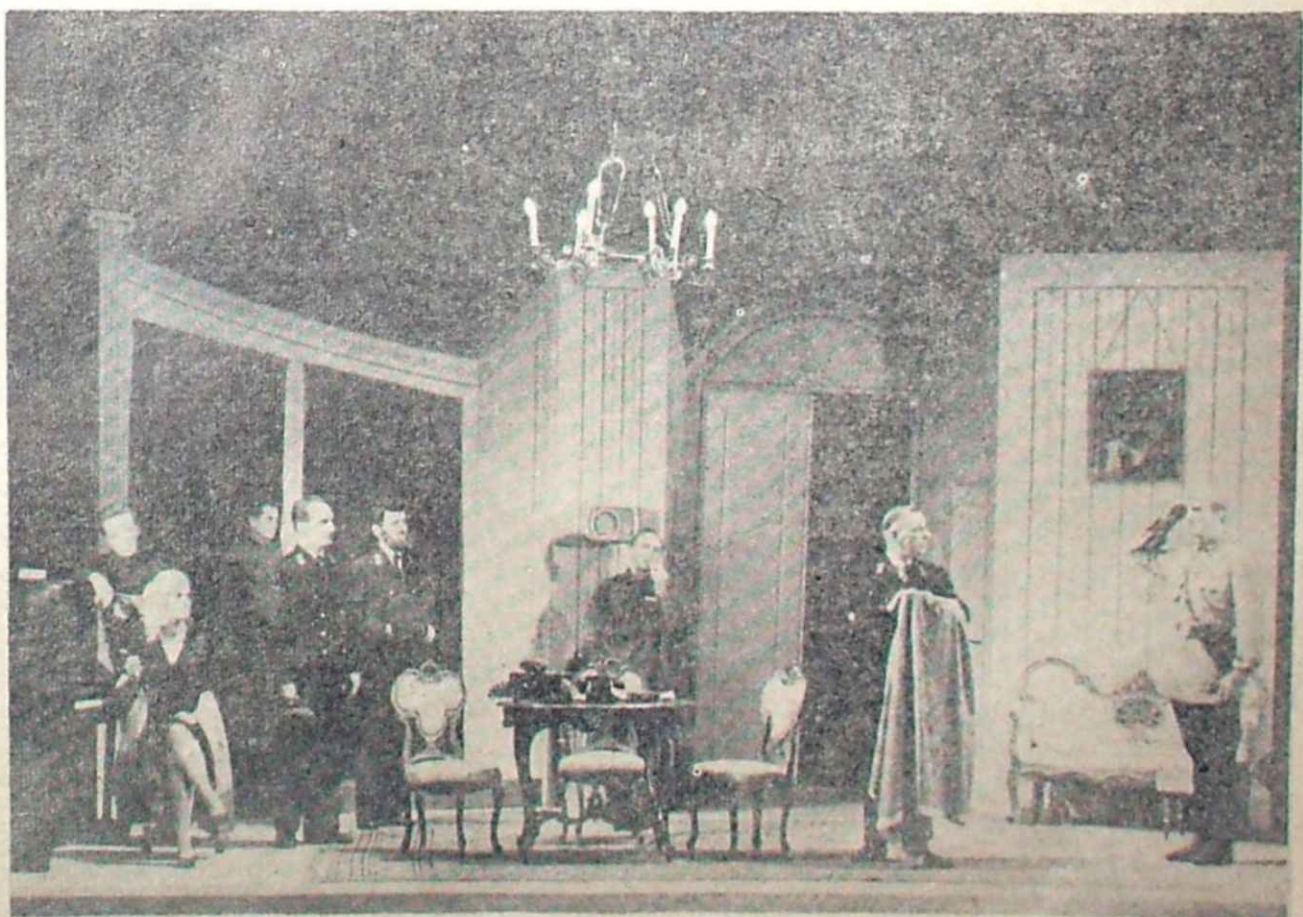
Sławomir Chudzik jest studentem piątego roku Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej w Gdańsku, z pochodzenia białostoczczyńcem. Jego kruczki włosy kontrastują z jasną karnacją skóry, co nasuwa mi przypuszczenie, że ta biologiczna cecha ma wpływ na wybór gatunku plastycznego — grafiki.

(Dokończenie na str. 13)

SZTUKI RADZIECKIE NA SCENACH WOJEWÓDZTW WSCHODNICH



Państwowy Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie: Wsiewołod Wiszniewski: „Tragedia optymistyczna”



Państwowy Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie: Aleksander Szejn: „Hotel Astoria”

TRUDNA DROGA AWANSU

ZDZISŁAW KOZIOL

STALOWA WOLA. Ponad 20-letnie miasto zbudowane w Puszczy Sandomierskiej — jej resztki zachowały się jeszcze na terenie Huty, jednym z największych zakładów Rzeszowszczyzny.

Stalowowolscy kronikarze usilnie dorabiają swojemu miastu historię sięgającą podobno XV wieku. Powstała wówczas wieś Pławno. Na jej polach, a ściślej w okolicznych lasach, tuż przed drugą wojną światową rozpoczęto budować „Zakłady Południowe” — ważny element planowanego rejonu „C” Centralnego Okręgu Przemysłowego. Jednakże historia tegoż miasta to przede wszystkim ostatnie dwudziestolecie. Stalowa Wola wyrosła szybko: początkowo plac budowy, nowi mieszkańcy — robotnicy huty i elektrowni, budowniczości hal fabrycznych i domów mieszkalnych, szarych, koszarowych, ale innych od tych, w których żyli ci ludzie dotychczas. Gruntownie zmieniły się warunki i obyczaje. Zerwane zostały tradycyjne więzi społeczności wiejskiej — młodzi ludzie usamodzielnili się. Pracowali ciężko, ale dysponowali wolnym czasem i gotówką — sprzyjało to zabawom „na całego”. A że milicja nie zawsze umiała sobie radzić, kiedyś interweniowało nawet wojsko...

Rozwijał się zakład, rozszerzało miasto. Nowi mieszkańcy dopasowali się do nowych warunków dość szybko. Stalowa Wola weszła w okres stabilizacji. Minęły czasy, w których łatwo było o awans ułatwiony. Dziś robotnika nie zasypuje się propozycjami obejmowania kierowniczych stanowisk, ale dążenie do uzyskania wykształcenia zawodowego i ogólnego jest coraz powszechniejsze. Wyższa pozycja zawodowa przynosi korzyści materialne i zapewnia — co ważne jest zwłaszcza dla młodzieży — uznanie otoczenia. Wieloma określeniami obdarza się Stalową Wolę. Ostatnio coraz częściej mówi się, że jest to miasto ludzi uczących się.

Niedawno przyjechałem do Stalowej Woli na uroczystość otwarcia szkoły — pomnika Tysiąclecia. Wiedziałem, że znajduje się ona niedaleko Zakładowego Domu Kultury. Pytam więc o ZDK. „Wskażę panu drogę — mówi mi młody mężczyzna i wsiada z małym chłopcem do samochodu. — Tak tę szkołę zbudowano za nasze pieniądze, kosztowała...”. Wiem. Stalowa Wola pierwsza w województwie zrealizowała roczny plan zbiórek na Społeczny Fundusz Budowy Szkół. Czy ludzie chętnie płacili te składki — pytam. „Zdarzają się wyjątki, ale większość płaciła bez gadania. Dzieci muszą się gdzieś uczyć, a w szkołach naszych jest bardzo ciasno. A i my w Hucie także się uczymy. Dziś daleko bez wykształcenia się nie zajdzie”. Znam to powiedzenie. Czasami brzmi ono niestety jak frazes.

Na słupach ulicznych dostrzegam tablice z mobilizującymi hasłami — socjalizm, przyjaźń, racjonalizacja, nauka, wiedza, kultura. Rozmawiam z kierownikiem działu szkolenia,

Wacławem Szelią. Gdy idziemy przez tereny zakładu, zatrzymują go różni interesanci — głównie w sprawie urlopów na egzaminy i skierowania na kursy. Kierownik działu szkolenia był robotnikiem, wyróżnił się racjonalizatorskimi pomysłami, uczył się w technikum, a następnie ukończył studium pedagogiczne, dwukrotnie był dyrektorem szkoły. „Przed paru laty uznano, że brak mi odpowiednich kwalifikacji, wyszedłem z przemysłu i do przemysłu wróciłem. Sam studiuję nadal i próbuję zachęcić do nauki innych”. Pracy, w której Szelię łączy wytrwałość robotnika i takt pedagoga, jest wiele. Szczegółowo opracowany plan szkolenia przewiduje, że w bieżącej pięcioletniej uczę się będzie 9.848 pracowników. W roku szkolnym 1960/61 różne formy szkolenia ukończyło 2.529 osób, a w ubiegłym roku — 1.942. Spora część pracowników ukończyła w zakładzie siódmą klasę — w 1960 roku bez wykształcenia podstawowego było ponad 2 tysiące osób, obecnie — około tysiąca. W różnych szkołach średnich uczyło się 500 pracowników.

Wykwalifikowanych kadr wciąż za mało, potrzeba m. in. ekonomistów, cóż kiedy technikum w sąsiednim Rozwadowie nie posiada wydziału zoicznego, a starania o jego otwarcie nie przynoszą rezultatu. Było kiedyś dwuletnie studium przygotowujące do egzaminów eksternistycznych, podobne zorganizował ZMS w swoim Uniwersytecie Robotniczym. Dobre i to, gdyby nie improwizacja obliczona raczej na zdobywanie dyplomu niż rzetelnej wiedzy. 128 pracowników studiuje w Politechnice Krakowskiej i w Wyższej Szkole Nauk Społecznych. Obie uczelnie mają w Stalowej Woli punkty konsultacyjne. Myśli się o kursie magisterskim dla inżynierów. Tu jednak trudności są znaczne; zakład może płacić wykładowcom po 30 zł za godzinę. Kto za taką stawkę przyjedzie z Krakowa, Warszawy czy innego większego ośrodka naukowego?

Plan szkolenia realizuje się z pomocą nawiązką. Obecnie co szósty pracownik Huty podnosi swoje kwalifikacje, co w porównaniu z wieloma przedsiębiorstwami stanowi osiągnięcie. Niejeden dyrektor, kierownik działu szkoleniowego czy aktywista partyjny lub związkowy mógłby się tu zapoznać z formami popularyzacji wiedzy, mógłby nauczyć się jak zainteresować pracowników nauką.

Egzekutywa Komitetu Zakładowego partii często omawia szkolenie załogi. To dowód, że wytworzono atmosferę sprzyjającą nauce.

Nie wszędzie jednak sprawie tej nadano właściwą rangę. W informacji komisji WKZZ w Rzeszowie znalazło się charakterystyczne zdanie: „Na uwagę zasługuje fakt, że na stanowiskach kierowniczych 494 osoby nie ukończyły szkoły podstawowej i 762 zajmują stanowiska pracowników umysłowych”. Równocześnie zatrudniano ludzi z wyższym wykształ-

ceniem — ich odsetek na Rzeszowszczyźnie jest już wyższy od średniej krajowej. Pojawily się konflikty. Robotnicy z kilkuletnim stażem krzywo patrzyli na absolwentów szkół zawodowych, a nie posiadający kwalifikacji kierownicy — na młodych specjalistów.

Zaczęto różnymi środkami, nie zawsze właściwymi, „mobilizować” do nauki. Tym, którzy nie mieli ukończonej szkoły podstawowej obniżano zarobki, zwalniano nawet z pracy. Ale w rejonach o dużym zapotrzebowaniu na siłę roboczą przyjmowały zwalnianych inne zakłady. Niejeden dyrektor, zwłaszcza przedsiębiorstw budowlanych, lamentował, że oświata pozbawia go pracowników. Tam gdzie uzyskać pracę jest trudno, przyjmowano za okazaniem świadectwa siódmej klasy. Podkarpacie np. jest eksporterem niewykwalifikowanej siły roboczej na Śląsk, gdzie obowiązuje już cenzus wykształcenia. Poszukujący pracy wracali i w wydziałach oświaty prosili o „papierki”, czyli świadectwa szkoły podstawowej. Użytkiwali je po ukończeniu kursu. Nacisk, a nawet przymus przynosił rezultaty odwrotne od zamierzonych.

Różnie bywało i w Stalowej Woli, gdzie początkowo także obniżano zarobki. Ale z czasem zaczęto stosować zamiast sankcji bodźce: podniesienie kwalifikacji przynosiło upragniony awans. Trudno jest na ogół godzić naukę z realizacją zadań produkcyjnych. Dość często zdarza się, że dyrektorzy agitują za nauką, ale kierownicy oddziałów i mistrzowie nie zwalniają na zajęcia szkolne. W Hucie natomiast niższy personel kierowniczy odpowiada za wykonanie zadań szkoleniowych przez podległych pracowników. Wykorzystano różnorodne formy propagandy — radiowęzeł, gazeta zakładowa, zebrań i rozmowy indywidualne. Od dawna już wiadomo kto, kiedy i na jaki kurs będzie uczęszczał. Nawłazano ścisły kontakt z wydziałami oświaty w województwie rzeszowskim i lubelskim. Dobrze układa się współpraca z pracownikami nadzoru pedagogicznego w Stalowej Woli, Nisku, Kraśniku i dzięki ich pomocy umożliwiono naukę pracownikom dojeżdżającym. Dla innych zorganizowano kursy między I a II zmianą. W stalowni Huty wprowadza się czterobrygadowy system pracy; robotnicy będą teraz mieli dwa dni wolne w tygodniu — jeden wykorzystany zostanie na naukę.

W ubiegłym roku kilkudziesięciu tzw. aktywistów gospodarczo-politycznych ukończyło szkołę mistrzów lub technikum. „Podczas okupacji nie mogliśmy się uczyć, nie było na to czasu, gdy budowaliśmy zakład. Dziś jednak zdobycie wiedzy fachowej jest dla każdego z nas możliwe i konieczne”.

Aby dostrzec jakie zmiany zaszły w życiu załogi, trzeba by przeprowadzić odpowiednie badania socjologiczne. Szelię i inni moi rozmówcy utrzymują, że zmniejszyła się frekwencja w knajpach — kto się uczy, temu brak czasu na libacje. Coraz większą natomiast popularnością cieszy się biblioteka, telewizor, dobra impreza w Zakładowym Domu Kultury.

Stalowa Wola stała się miastem ludzi uczących się. Droga do awansu poprzez łączenie pracy z nauką jest z pewnością trudna. Ale w Stalowej Woli uznano ją za słuszną i skuteczną.

Z DOLINY SZYBÓW NAFTOWYCH

JÓZEF JANOWSKI

ona częściowo z zacołania i błędy. Duża jest w tym zasługa samego Łukasiewicza. Jego radykalna postawa społeczna, głęboki dojrzały umysł wpływają na to, że zakłada wśród robotników kopalni Bóbrka Kasę Bracką, z której wypłacano pieniądze na doraźne pomoce i zapoinogi. Była to pierwsza tego rodzaju kasa na świecie.

Do ostatnich dni przetrwała wśród kobiet w Chorkówce umiejętność koronkarstwa, którego nauka zapoczątkowana została z inicjatywy i funduszu Łukasiewicza.

Obywatelskie zasługi wynalazcy lampy naftowej nie kończą się na

tym. Jego zainteresowanie rozwojem gospodarczym roponośnych terenów pobudza i kieruje siły społeczne do szeregu poczyniń. O owocach tego wysiłku tygodnik „Strażnica” w dniu 3 sierpnia 1878 roku przynosi następujące dane: „Kto w kilkunastu ostatnich latach zwiedził powiat krośnieński, tego przede wszystkim zastanowiły wyborne, szosowe drogi. Od Zręcina toczą warko koła w prawo ku góróm, mijają nawodnione wzorowo łąki, bujnie okryta płonem glebę. Cała droga obsadzona wybornymi owocami drzewami a każde drzewko otoczone silnym plecionym koszem. Magazyny podziemne (z ropą) ciągną się wzdłuż drogi”.

Tymi właśnie drogami podążali w owych czasach celem poznawania najwzniejszych prac górniczych i rafinerijnych wysłannicy z krajów europejskich i pozaeuropejskich; ożywił się na nowo dawny szlak rzymski, którym swego czasu podróżowali kupcy i przekupnie panońskich ośrodków rzemieślniczych.

NOWE PERSPEKTYWY

FRANCISZEK BŁONSKI

TEGO, że Rzeszowszczyzna staje się coraz bardziej znaną i coraz powszechniej uczęszczanym terenem turystyki, dowiedzieć się można choćby pobieżnie przeglądając prasę wcale nie lokalną lecz krajową: różne dzienniki i tygodniki temu właśnie nowemu problemowi województwa rzeszowskiego poświęcają wiele miejsca i uwagi. Rok bieżący zresztą przyniósł serię wydawnictw, propagujących turystyczne szlaki Rzeszowszczyzny, że wymienię informator Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Obsługi Ruchu Turystycznego „Bieszczady”, a z cyklu „Góry polskie w panoramie” znowu „Bieszczady”, opublikowane przez Krakowskie Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, następnie obok kilku dawnych wydanych o typie monograficznym przewodniki po Ustrzykach Dolnych i okolicy, Gorlicach, a wreszcie bogaty wybór folderów zachęcających do wycieczek w kierunku Krosna, Odrzykonia, czy też Przemysła, Krasiczyna, Dubiecka. Do tego zestawu turystycznych przewodników dochodzi jeszcze składanka ilustrowana „Zamki Ziemi Rzeszowskiej” oraz kilkujęzyczny przewodnik po zamku-muzeum w Łańcutu.

Rozwój turystyki w województwie rzeszowskim niech zobrazuje kilka cyfr: jak wynika ze statystyk, już obecnie w ciągu roku zwiedziło to województwo około miliona osób, a do budżetu terenowego Rzeszowszczyzny z tytułu turystyki wpływa rocznie około 140 milionów złotych. Największe nasilenie turystyki notuje rejon Bieszczad, które w tym roku odwiedziło ponad 200 000 turystów. Bardzo uczęszczany jest również Łańcut, przez który rocznie przewija się do 300 000 osób. Niezależnie od tych terenów, tysiące turystów notuje Rzeszów, Przemysł, Krosno, Bieczę, Tarnobrzęskie Zagłębie Siarkowe i inne mniejsze ośrodki, jak Dukla, objęta konwencją turystyczną z Czechosłowacją, czy Zarnowiec, gdzie znajduje się dworek-muzeum Marii Konopnickiej.

W ostatnich tygodniach odbyły się w województwie rzeszowskim dwie ważne narady poświęcone turystyce, krajoznawstwu, ochronie przyrody i zabytków na tym terenie.

W dniach 18—19 września obradowała 2-dniowa sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej, której tematem były problemy ruchu turystycznego województwa rzeszowskiego ze szczególnym uwzględnieniem turystycznego zagospodarowania Bieszczad. Była to sesja szczególnie starannie zorganizowana, przy czym w pracach przygotowawczych obok Prezydium WRN zaangażowane były poszczególne komisje i skupiony wokół nich aktywny społeczny. Tym tematom poświęcono specjalny numer „Biuletynu Informacyjnego Pre-

O CAŁE pół wieku wcześniej niż Maria Konopnicka przybyła na przedpole Przełęczy Dukalskiej, w teren lukowatych pagórków, i osiedlili się w Chorkówce Ignacy Łukasiewicz. Działalność jego nad poszukiwaniem oleju skalnego w Bóbrce, (powiat krośnieński) dała początek przyszłemu intensywnym poszukiwaniom złóż ropy naftowej, przyczyniając się w konsekwencji do powstania nowej gałęzi górnictwa. Jednocześnie prace te stały się kolebką światowego przemysłu naftowego. W sąsiedztwie najwzniejszej na świecie bóbrzańskiej kopalni oleju skalnego powstają najpierwsze urządzenia do jego rafinerii. W nich to wyodrębnił Łukasiewicz z ropy składniki, dając tym samym przyszłemu przemysłowi chemicznemu źródło różnorodnych węglowodorów, z których po przeróbce otrzymuje się setki innych produktów.

Rozwój przemysłu naftowego przynosi ziemi krośnieńskiej zasadnicze zmiany, dzięki którym wyzwoliła się

8



Uczestnicy Sesji Naukowej w Bieszczadach

zydium WRN", bardzo pomocny materiał w codziennej pracy rzeszowskich radnych.

Komisja Oświaty i Kultury WRN dokonała szczegółowego rekonesansu w terenie: podzieleni na 3 grupy członkowie tej Komisji wzdłuż i wszerz przejechali województwo rzeszowskie, przeprowadzając wizje lokalne i kontrole na miejscu w hotelach, w schroniskach, rozmawiając z turystami, gromadząc opinie i sugestie terenowego aktywu gospodarczego oraz aktywu PTTK. Szereg członków Wojewódzkiej Rady Narodowej wręcz poświęciło część swoich urlopów, by w charakterze turystów spędzić kilkanaście dni w Bieszczadach, przywożąc następnie na sesję swe własne obserwacje, doświadczenia i wnioski.

Sesja, której miałem zaszczyt przewodniczyć, rozpoczęła swe obrady w Rzeszowie, by następnie przenieść się w gremio na turystyczny szlak Bieszczad. Jej wagi dowodziło nie tylko bardzo staranne przygotowanie materiałów traktujących o kierunkach działania terenowych Komitetów Kultury Fizycznej i Turystyki oraz placówek i organizacji zajmujących się upowszechnianiem turystyki, lecz również liczny udział przedstawicieli szczebla centralnego. W sesji i w objętej trasie bieszczadzkiej wzięli udział przedstawiciele Urzędu Rady Ministrów z dyrektorem Adamem Wendlem, przedstawiciele Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki z zastępcą przewodniczącym Michałem Jekielem, członkowie wojewódzkiej instancji partyjnej oraz posłowie Ziemi Rzeszowskiej.

Część obrad sesji odbyła się na malowniczej obwodnicy opasującej Bieszczady, przy czym uczestnicy sesji mieli możliwość konfrontować plany i zamierzenia z realnymi wynikami. Wgląd w aktualny stan schronisk, czy też innych baz noclegowych i wyżywieniowych, dostarczył bardzo wiele autentycznego materiału. Stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość ogromną atrakcyjność tego regionu, mimo różnych jeszcze istniejących braków i niedokończonych robót.

Sesja zakończyła się w Sanoku kilkugodzinną bardzo ożywioną dyskusją. Trudno zrelacjonować tu wszystkie wnioski Komisji i dyskutantów, które znalazły swój wyraz w obszernej uchwale podjętej na zakończenie Sesji. W ustalaniu kierunków działania z dziedziny popularyzacji, dalszej rozbudowy urzędów i organizacji ruchu turystycznego w województwie rzeszowskim, główny nacisk położono na inicjatywę terenowych rad narodowych, ich gospodarność, zabiegliwość oraz ich stałe zainteresowanie się turystyką na naszym terenie. Wskazywano, że małe inwestycje przysporzyć mogą niemało nowych urzędów dla wygody turystów. Konkretne zobowiązanie w dziedzinie dalszego wyposażania istniejących urzędów turystycznych wzięli na siebie Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, który w ciągu ostatnich 2 lat nakładami w wysokości 13 milionów złotych przyczynił się do zorganizowania na terenie województwa około 1800 miejsc noclegowych. Uchwala, dzieląc Rzeszowszczyznę na 3 określone strefy turystyczne, szczegółowo ustala zadania władz powiatowych i miejskich, wojewódzkiego i powiatowych Komitetów

Kultury Fizycznej i Turystyki na najbliższe lata. Zapowiedziany zaś generalny przegląd przygotowań na nowy sezon turystyczny zobowiązuje również terenowe rady narodowe do większej uwagi dla tego zagadnienia.

Tej samej problematyce w aspekcie norm prawa i porządku publicznego poświęcona była sesja naukowa zorganizowana w dniach 27-29 września w Rzeszowie przez działające tu Zawodowe Studium Administracyjne Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie. Zagadnienia ochrony zabytków i przyrody oraz rozwoju turystyki w pracy rad narodowych były głównym tematem obrad sesji, a wydane w związku z tym streszczenia referatów stały się bardzo pożytecznym materiałem dla przestudiowania przez pracowników rad narodowych całokształtu tych zagadnień.

Sesja, której komitet honorowy stanowili: członek KC, I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie, Władysław Kruczek, przewodniczący Prezydium WRN w Rzeszowie, Michał Ostrowski, rektor UMCS w Lublinie, prof. dr Grzegorz Leopold Seidler, utrzymujący stałe i serdeczne więzy z Rzeszowszczyzną oraz dziekan Wydziału Prawa UMCS, prof. dr Józef Mazurkiewicz, w której uczestniczył członek Rady Państwa Jan Dąb-Kocioł, była jednym z ogniw stałej współpracy lubelskiego Uniwersytetu z województwem rzeszowskim. Zawodowe Studium Administracyjne UMCS szkoli w Rzeszowie liczną kadrę pracowników rad narodowych tego terenu przy czym grupa około 100 osób ukończyła już tego rodzaju studium.

Sesję naukową, która w pierwszym dniu obradowała w Rzeszowie, a następnie w Łańcucie i Przemysłu, zainaugurował referat sekretarza Prezy-

dium WRN Rzeszów, Franciszka Kiełbickiego oraz kierownika działu WKPG, Juliusza Petrusa, pt. „Problem aktywizacji miast i miasteczek w województwie rzeszowskim”. Administracyjne i prawne przepisy i zadania rad narodowych w dziedzinie ochrony przyrody referował prof. dr Kazimierz Sand, kierownik Zawodowego Studium Administracyjnego UMCS, a dr Jan Szreniawski i mgr Stanisław Poniatowski z UMCS omówili zadania rad narodowych w dziedzinie rozwoju ochrony zabytków i turystyki. Liczny udział aktywu administracyjnego, gospodarczego i społecznego z terenu całego województwa, udział przedstawicieli Kancelarii Rady Państwa, szeregu ministerstw, wyższych uczelni i placówek naukowych z Warszawy, Krakowa i Łodzi, świadczyły o aktualności tego rodzaju sesji, która połączona była ze zwiedzeniem Muzeum w Łańcucie, zabytków Przemysłu, a także Bieszczad.

Podobnie jak sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej i ta sesja naukowa wskazywała na węzłowe zadania rad narodowych w rozwoju turystyki i ochronie przyrody oraz zabytków. Obie sesje zwróciły uwagę również na nie zawsze w pełni dostrzeganą i docenianą rolę czynnika społecznego, aktywność regionalnych towarzystw w zabezpieczaniu dóbr kulturalnych i w popularyzowaniu istotnie wartościowej krajoznawczej turystyki.

Mnie i innym pracownikom naukowym muzeów, działającym na terenie województwa rzeszowskiego, te zagadnienia szczególnie leżą na sercu. Do uchwały zamykającej sesję „turystyczna” Wojewódzkiej Rady Narodowej wprowadziliśmy punkt określający obowiązki terenowych

rad narodowych wobec coraz liczniejszych naszych placówek muzealnych w województwie. Nie ma bowiem potrzeby rozwodzić się szerzej nad doniosłą rolą muzeów dla rozwoju właściwej turystyki, dającej zainteresowanym coś więcej oprócz polowania kilometrów i mniej lub więcej kulturalnego biwaku.

Dzięki inicjatywie terenu i wysiłkom grupy miłośników regionu, mapa Rzeszowszczyzny stale wzbogaca się o coraz to nowe punkty muzealne. Nieraz powstają one jako trwała pamiątka po jubileuszowych obchodach, związanych z Tysiącleciem Państwa Polskiego, nieraz jako owoc wieloletnich zabiegów różnych jednostek i organizacji społecznych. Tak np. w miasteczku powiatowym Ropczyce w 600-lecie jego istnienia założono i otwarto skromne muzeum społeczne. W Łańcucie, szeroko znanym ze wspaniałego zamku-muzeum, miejscowi entuzjaści organizują społeczne muzeum ludowej rzeźby, ceramiki i stroju. Mówi się tu również o założeniu muzeum judaistyki w pięknej miejscowej, odremontowanej synagodze. Chwalebne inicjatywy przejawia również w tym kierunku wieś: w odległych Wyszatycach, w powiecie przemyskim, oglądałem niedawno zawiązki muzeum wiejskiego, podobnie rozwija się inicjatywa w Haczowie w powiecie brzoźowskim. Wzbogacają swoje zbiory i unowocześniają ekspozycje muzeów społeczne, istniejące od szeregu lat, jak muzeum w 1000-letnim Bieczu, w Gorlicach czy w Przeworsku.

Z większych tego rodzaju przedsięwzięć oczekuje się z dużym zainteresowaniem otwarcia muzeum flory i fauny Bieszczad w Lesku, jak również Muzeum Polskiej Siarki w renesansowym zamku w Baranowie Sandomierskim. Z wielkim zadowoleniem wypada odnotować fakt, iż zamek ten, perła polskiego renesansu, przez szereg lat zaniedbany i spędzający sen z oczu miłośnikom sztuki, wkroczył obecnie w etap pełnej odbudowy. Cały wystrój zewnętrzny starannie odremontowany cieszy oko architektoniczną pięknoscą. Tak więc i pobliskie zagłębie siarki w Tarnobrzegu, cel turystyki, zyskuje wspaniałą nową obiekt. Jakże atrakcyjne, a równocześnie poszczególnie będące skansen-muzeum polskiej nafty w miejscowości Bóbrka w powiecie krośnieńskim, obejmujące pierwsze kopanki z czasów pioniera polskiego przemysłu naftowego Ignacego Łukasiewicza, pierwszą prymitywną kuźnię, w której sporządzano i naprawiano narzędzia służące do wydobycia i oczyszczania ropy naftowej.

Z rozmów z wycieczkami, które również bardzo licznie przewijają się przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, z doraźnych wywiadów w terenie, stwierdzić można, iż muzea nawet i te „początkujące”, otaczane opieką terenowych rad narodowych, odgrywają ważną rolę wychowawczą w dziedzinie turystyki.

Jak doniosłym czynnikiem kulturalnego działania są muzea województwa rzeszowskiego, świadczą także fakty, że do naszych placówek muzealnych coraz częściej nadchodzą podziękowania od różnych wycieczek za pożyteczny w nich spędzony czas, coraz częściej wpisywane są w księdkę pamiątkowej słowa uznania za wartościowe i interesujące ekspozycje i coraz częstsze bezinteresowne przekazywanie różnych, nieraz cennych przedmiotów do zbiorów muzealnych.

W tym froncie turystycznej aktywizacji Rzeszowszczyzny i nowych perspektyw rozwoju krajoznawstwa rolę muzeów docenić winny wszystkie czynniki zainteresowane dziedziną kultury, począwszy od wojewódzkiej do powiatowych i miejskich, a w poszczególnych wypadkach i do gromadzkich rad narodowych.

Franciszek Błoński

o „kulturalnych” kłopotach stolicy Podkarpacia

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

NA wstępie mała prezentacja. Krosno i powiat krośnieński — to jeden z najbardziej dynamicznych rejonów Rzeszowszczyzny. W okresie minionego 18-lecia okręg ten dokonał milowego skoku naprzód; w żadnym z ośrodków województwa rzeszowskiego (z wyjątkiem może samego miasta Rzeszowa) procesy industrializacji i urbanizacji nie osiągnęły takiego stopnia rozwoju, jak w krośnieńskim. Niedawno zbudowano tu i zmodernizowano szereg zakładów przemysłowych (wspomnę choćby o wzniesieniu nowoczesnej huty szkła technicznego, dzięki czemu Krosno wyrosło na jeden z największych w kraju ośrodków przemysłu szklarskiego, a przecież nie koniec na tym: stanie jeszcze jedna huta szkła).

By uzupełnić obraz rozwoju Krosna, wspomnę, że zakończono tu już elektryfikację wsi (wszystkie osady otrzymały światło elektryczne) że stan krośnieńskich dróg budzi zazdrość u sąsiadów, że powiat ten ma bardzo do-

brze zorganizowaną sieć komunikacji autobusowej. To wszystko zawiązuje Krosno perspektywom, jakie otworzyła przed naszym krajem nowa sytuacja polityczno-gospodarcza po 1944 roku, zawiązuje gospodarność swych mieszkańców, inicjatywę i energię władz.

Jak wobec tego wyglądają sprawy krośnieńskiej kultury? Czy i w tej dziedzinie notujemy również szybki rozwój?

Przy próbie odpowiedzi na te pytania sprawa wyraźnie się komplikuje. Wprawdzie we wszystkich niemal zakładach przemysłowych wzniesiono, względnie wygospodarowano jakieś lokale na świetlice, kluby. Wprawdzie jedyny w mieście Dom Kultury „Górnika-Naftowca” prowadzi dość ożywioną działalność, w różnych zespółach zainteresowań skupia wielu ludzi. Zespół teatralny „Górnika” zaliczany był kiedyś do najlepszych nie tylko w województwie, ale i w kraju, zdobywał czołowe miejsca w ogólnopolskich

festiwalach. Ostatnio, co prawda, gorzej mu się wiodło (w ubiegłym sezonie nie wystawił ani jednej sztuki). Zespół estradowy DK reprezentuje, zdaniem krośnian, niezły poziom. To samo można powiedzieć o grupie estradowej huty szkła technicznego, z tym jednak zastrzeżeniem, że zespół ten od trzech lat z uporem godnym lepszej sprawy kopiuje radiowe podwieczorki przy mikrofonie.

Powszechnie znany jest zespół pieśni i tańca krośnieńskiej fabryki obuwia sportowego. Ma Krosno kilka zespo-

(Dokończenie na str. 15)

PASCAL a psychologia podświadomości

(Dokończenie ze str. 3)

chu w wodzie lub powietrzu, gdy go nie dostrzegamy, tak też nie wolno wnioskować, że nie ma poglądów w umyśle, gdy ich sobie nie uświadamiamy (quand on ne s'en aperçoit pas)". Poglądy te wpływają na nasze postępowania, ale dają też poza tym znać o sobie: czujemy je w pewien sposób, dają nam pewną wiedzę uczuciową, wiedzę — jeżeli wolno użyć słowa, którego u Nicole'a nie ma — intuicyjną. Nicole robi w związku z tym bardzo interesującą uwagę. Każda książka jest według niego źródłem dwojakich wrażeń. Po pierwsze przekazuje nam myśli uformowane, wyraźnie wypowiedziane i trafiające do naszej świadomości. Ale poza tym daje nam też wrażenia nieokreślone, myśli, które czujemy, których jednak nie potrafimy wyrazić. „I z reguły w tych poglądach wzbudzonych, a nie wyrażonych, zawiera się piękno książek i pism”.

Co z tej teorii podświadomości było przedmiotem rozmów pomiędzy Nicolem a Pascalem? Nicole pisze we wstępie do swych rozpraw, że Pascal, z którym miał szczęście „być związanym bardzo blisko”, niemało uczynił, żeby umocnić go w obranym kierunku myśli (à nourrir en moi cette inclination). Słowa te dotyczą bezpośrednio tylko sprawy przelamania oporu psychicznego, na jaki — według Nicole'a — napotyka nauka o lasce „skutecznej”; nie jest pewne, czy odnoszą się również do myśli podświadomych, choć przypuszczenie takie nasuwa się, gdyż Nicole dochodzi do psychologii podświadomości właśnie rozpatrując zagadnienie pierwsze. Ważną jest wobec tego druga wzmianka o Pascalu. Znajdujemy ją w miejscu, w którym

Nicole mówi o podświadomości jako źródle wiedzy intuicyjnej. Tu właśnie powołuje się na intuicjonizm Pascala, na wiadomości, które mamy z uczucia i instynktu.

Jeżeli wolno założyć, że to powołanie się jest słuszne, tj. ściśle powiązane z zagadnieniem, które Nicole rozpatruje, to tkwi w tym rzecz wielkiej wagi: klucz do zrozumienia podstawy, na której opiera się Pascaliowska wiedza intuicyjna. Rozejrzyjmy się więc, czy w dziełach Pascala nie natrafimy na ślad tych idei niedostrzegalnych. W *Myślach* jest rozdział bardzo bliski temu tematowi. Chodzi o sprawę różnic pomiędzy zmysłem matematycznym, a zmysłem życiowym (§ 1 wyd. Brunschwiega). W sprawach życiowych — pisze Pascal — nie opieramy się na jasnych zasadach. „Zaledwie je widzimy, raczej czujemy niż widzimy”. Smiesznością okryłby się, kto chciałby w tej dziedzinie za każdym razem przeprowadzać dowody rozpoczynając od definicji i zasad. I Pascal zauważa w związku z tym: „Nie znaczy to, aby umysł tego nie czynił, ale czyni to milcząco, w sposób naturalny i bez sztuki”. Boy tłumaczy tu: „bezwiednie” i uchwycił tym doskonale sens słów Pascala, do których Brunschwieg załączył komentarz tłumaczący, że Pascal myśli tu „o ukrytym działaniu inteligencji, nie występującym bezpośrednio w świadomości”. Przypuszczenie, że Pascalowi nasunęła się idea „myśli niedostrzegalnych” jest zresztą naturalne: jako matematyk zajmował się przecież „nieskończonością w małości”, a w słynnym ustępie *Myśli* o dwóch nieskończonościach wyciągał z tego wnioski wykraczające poza matematykę. Podobieństwo do Leibniza rzuca się tu w oczy.

Przejdźmy na zakończenie tego szkicu o wpływie osobistego Pascala do wpływu, jaki wywarły jego dzieła. Musimy naturalnie ograniczyć się do ujęcia przykładowego. Podamy przykład, który w sposób nieoczekiwany uwidoczni rozległość tego wpływu. Myślimy bowiem o Chinach.

W XVII wieku jezuiti podjęli kilkakrotnie próbę rozwinęcia w Chinach działalności misyjnej. Pierwsze

próby nie powiodły się; propagowanie chrześcijaństwa zostało zabronione. Ale pod koniec tego wieku sytuacja się zmieniła. Przed misjonarzami jezuitami otworzyły się wówczas wielkie możliwości. Cesarz Khang-Hsi, ujęty przysługami w dziedzinie techniki wojennej i naprawy kalendarza, sprzyjał jezuitom i wydał edykt tolerancyjny na rzecz chrześcijaństwa. Powodzenie jezuitów miało tym mocniejsze podstawy, że nie zrazili sobie przedstawicieli chińskiej inteligencji i mandarynatu. Akceptowali bowiem ceremonie na cześć Konfucjusza widząc w nich akty świeckie. Nie występowali też przeciwko kultowi przodków traktując go jako wyraz pietyzmu. Uniknęli tym samym konfliktu z tradycjami chińskimi. Początkowo mieli na to zgodę papieża. Ale potem kampania jansenistów (*Prowincjałki Pascala*) o czystości wiary zmieniła nastroje w Rzymie: papież potępił ustępstwa jezuitów w Chinach. Wówczas wdał się w to cesarz Khang, który osobiście interesował się tą sprawą i wyjaśnił, że kult przodków i cześć oddawana ich tabliczkom nie jest idolatrią i że Chińczycy niczego nie oczekują, ani od Konfucjusza, ani od przodków. „Nikt — tak pisał — nie wierzy w ich obecność w tabliczkach. I to, co w przepisach rytualnych mogłoby nasunąć zdanie przeciwne, jest tylko jedną z wielu metafor chińskiego języka”. Gdy jednak władze kościelne nie zmieniły stanowiska, cesarz cofnął edykt tolerancyjny. Pascal wówczas już dawno nie żył. Ale wpływ *Prowincjałek* trwał i jego skutki sięgały aż do Chin.

Głębszy jeszcze i bardziej różnorodny jest wpływ *Myśli*. Znaczenie obu tych dzieł polega nie tylko na wadze poruszanych w nich zagadnień, lecz również na walorach języka. Pascal jest jednym z twórców nowoczesnej prozy francuskiej. I może nie tylko prozy. Niektóre sceny w *Prowincjałkach* są jakby wyjęte z komedii. Jest prawdopodobne, że wpłynęło to na Molière, Pascal potrafił bawić i śmieszyć — on, który w *Myślach*, jak nikt przed nim, wyraził tragizm egzystencji ludzkiej.

Armin Teske

23 dzieci utrzymywanych z dotacji państwowej. Tego typu domów rodzinnych jest na terenie całej Polski tylko siedem.

Kraśnickie Koło nawiązało także kontakty z zagranicznymi osiedlami wiosek dziecięcych w Austrii i Szwajcarii. Przelomowym momentem w pracy Koła stało się powzięcie decyzji stworzenia nowego modelu opieki nad dziećmi opuszczonymi, modelu, który można by upowszechnić na terenie całej Polski. Nawiązano tu do koncepcji dr Hermana Gmeina, która wypracowana w Austrii dziś przyjęła się w Szwajcarii, Włoszech, Francji, Brazylii, Japonii, Jugosławii, a ostatnio także w Czechosłowacji. Założeniem planu dr Gmeina jest tworzenie wiosek dziecięcych, składających się z 15 do 20 domków. W każdym takim domu, w którym byłaby osobna bawialnia połączona z jadalnią, pokój dla matki, oraz trzy pokoje dla dzieci, zamieszkiwałoby od 6 do 9 sierot. Pozostawałyby one pod opieką jednej osoby, kobiety zwanej „matką”. „Matki” byłyby dobrane w proporcjach pięciu na sto kandydatek. „Matka” miałaby być osobą żarliwą, zaradną, umiejącą prowadzić gospodarstwo domowe. Musiałaby mieć dobrą opinię, byłaby osobą wolną, niezamężną w wieku od 24 do 36 lat. Prowadziłaby ona stronę finansową, gospodarczą, a przede wszystkim wychowawczą domu. W pracach konkretnych pomagałaby jej praktykantka, osoba, która w przyszłości mogłaby zostać również „matką”. W całym kompleksie osiedla znajdowałby się osobny budynek administracyjny, w którym również byłoby pomieszczenie na salę kinowateatralną, bibliotekę i pokoje gościnne dla byłych wychowanków i osób odwiedzających osiedle. Władzę męską reprezentowałby kierownik, pomagający „matkom” w wychowaniu bardziej krnąbrnych dzieci, a zarazem koordynujący i kierujący całą działalnością osiedla. Głównym celem nowego projektu jest stworzenie dla dzieci opuszczonych właściwej formy domu rodzinnego. „Matka”, prowadząca całe ognisko domowe, jakkolwiek byłaby pracownikiem państwowym, uprawnionym do dni wolnych, urlopu, emerytury itp., to jednak przede wszystkim byłaby kobietą-opiekunką, pełniącą właśnie ową rolę matki wobec poddanych sobie dzieci sierot. W domkach przebywałyby dzieci różnej płci, począwszy od niemowląt do czternastolatków, choźliby tu o stworzenie grupy rzeczywistego rodu państwa. Dzieci chodziłyby do szkół państwowych, znajdujących się w danej miejscowości, lub później podejmując dalszą naukę, przenosiłyby się do innych miast, gdzie przebywałyby w internatach. Na wakacje miałyby jednak zawsze prawo do powrotu do swego domu rodzinnego, gdzie czekałaby na nie „matka”. Związek dzieci z „matką” rozciągałby się na całe życie, przekraczałby moment uzyskania niezależności materialnej przez wychowanków, gdyż mogłoby oni domy swe odwiedzać nawet jako ludzie posiadający już własne rodziny. Ten punkt widzenia skłaniał właśnie organizatorów osiedli dziecięcych do oparcia swej koncepcji na wyborze kobiety wolnej i stosunkowo młodej, tak by istniała gwarancja, iż jej związek z dziećmi istniałby znacznie dłużej niż kilka lat.

Koło Kraśnickie swój program wiosek dziecięcych zaczęło propagować na terenie całego kraju. Akcja ta zyskała bardzo szeroki rozgłos. Liczne zakłady pracy z różnych okolic Polski

(Dokończenie na str. 12)

Film to życie, albo jego poezja rzucona na ruchomy ekran po to, by widzom dostarczyć bajkowej iluzji. Jak rzadko się zdarza, żeby ten sam film stał się inspiracją życia, zaczynając konkretną działalność społeczną. A jednak tak było. W 1959 roku jacyś nieznanzi ludzie z Kraśnika Fabrycznego, po obejrzeniu w miejscowym kinie filmu „Odwiedziny Prezydenta”, postanowili działać. Ruchomy ekran przedstawił im wizję sieroty, dziecka szukającego ciepła rodzinnego. Nieznani ludzie postanowili w Kraśniku Fabrycznym stworzyć Koło Przyjaciół Dzieci. Koło swemu nadało imię Kazimierza Jeżewskiego, przedwojennego twórcy polskich Gaźnów Sierocych. Mając już własne Koło, własny symbol, zaczęli szukać miejsca dla siebie. Włączyli się w ogólny nurt organizacji TPD. Postanowili współpracować z Państwowym Domem Małego Dziecka, który istniał w Kraśniku. Ale okazało się, że dla ich Koła, które powstało z gorącej inicjatywy zwykłych ludzi, nie było jeszcze wtedy miejsca. Nie zostali wpuśczeni do Domu Dziecka. Nie istniały po prostu wówczas jeszcze żadne przepisy, które by na taki akt pozwalały. Członkowie Koła chcieli zabierać dzieci na niektóre dni do swoich domów, chcieli, aby osieroczone maluchy bawiły się wspólnie z ich dziećmi. Powiedziano im, że to jest dzieło ponad ich miarę, że nigdy nie weźmą wszystkich dzieci. Biorąc nie które wniosły do sierotego domu pojęcie rodziny na chwilę, na godzinę parę, którym i tak nie nakarmią się wszystkie przebywające tu dzieci. Ze pomocą swą rozniosą żal, rozdając swe ojcowskie czy matczyne uśmiechy jednym dzieciom, a nie mogąc ich rozdać wszystkim. Dwa lata ubiegali się o to, aby Koło TPD im. K. Jeżewskiego mogło współpracować z Domem Małego Dziecka w Kraśniku. Już wtedy wiedzieli, jak tam jest. Ciemne, smutne pomieszczenie, gdzie betonowa podłoga, brak zabawek i przypadkowi, pozbawieni kwalifikacji pracownicy. Właśnie sprawa pracowników była tu najbardziej skomplikowana. Przygodne osoby, zatrudnione na zasadzie odpłatności finansowej, nie potrafiły dbać o powierzone im opiece sieroty. Zdarzały się kradzieże. Postawa nawet wykwalifikowanych pracowników nie była odpowiednią. Personel był w ogóle za

mały. Przypadała jedna osoba na 20 dzieci, podczas gdy normy ONZ wyznaczają jedną opiekunkę na 6 dzieci. Pracujące tu kobiety, mając tyle dzieci pod swą pieczę, nie miały czasu z nimi rozmawiać. Personel, niemal z reguły pozbawiony kwalifikacji pedagogicznych, ulegał częstym zmianom. W domach tych też nikt nie interesował się perspektywą losu przekazanych tu dzieci.

Po dwóch latach starań, uzyskało Koło prawo wstępu na teren Państwowego Domu Małego Dziecka w Kraśniku. W ciągu krótkotrwałej działalności, dzięki podejmowanym staraniom u odpowiedzialnych władz, doprowadziło do przeprowadzenia remontu całego pomieszczenia, wpłynęło na usunięcie nieodpowiednich pracowników, dzięki kumulacji etatów hydraulika i elektryka znalazło fundusze pozwalające zatrudnić pracownika socjalnego, który stał w sposób rozsądny interesowałby się losem poszczególnych dzieci. Starano się także o podniesienie kwalifikacji zaangażowanych pracowników. Zorganizowano wycieczki do innych domów dziecka, starano się stworzyć platformę wymiany doświadczeń, popularyzowano artykuły wychowawczo-pedagogiczne, publikowane na łamach specjalnie zajmującego się tą problematyką pisma pt. „Przyjaciel Dziecka”. Ale co najważniejsze — stworzono pewien czynnik opinii publicznej otaczający atmosferą ciepła maleństwa, zdane dotąd na chłodną laskawość swych płatnych opiekunów, które zresztą również w swej pracy były osamotnione. Zniknęły kradzieże. Wysokie fundusze państwowe, dochodzące do kwoty 1500 zł przeznaczonych miesięcznie na jedno dziecko, nie były już marnotrawione. Dla samych dzieci organizowano niedzielne wycieczki samochodowe, piesze wędrówki do lasu, w starej rupieciarni domu zainstalowano salę zabaw i odwiedzin.

Koło TPD im. Jeżewskiego z Kraśnika, dzięki swej działalności i publikacjom, rozszerzyło na cały kraj ideę prawdziwej przyjacielskiej opieki społecznej nad państwowymi domami dziecka i dziś inne bratnie koła również są uprawnione do tego rodzaju pracy. Twórcę tej idei, Czesława Szmigielskiego, b. pracownika Kraśnickiej Fabryki Wyrobów Metalowych, zaczęli wspierać inni mieszkańcy Kraśnika Fabrycznego: p. Pomors-

O DOM DLA SIEROT

STANISŁAW JAN ROSTWOROWSKI

cy, pp. Gruszkowa, Wójcikowa, Hermanowa, pp. Janiszewski, Iracki, Chmielarz i wielu innych. Z funduszy zebranych przez członków Koła zaczęto kupować zabawki i książki małym mieszkańcom osamotnionego dotąd domu. Brano też dzieci do swych własnych domów. Pan Antoni Janiszewski tak opowiada o swojej pracy — Przychodziłem zawsze po pewnego chłopca, który w określone dni nie chciał brać udziału w żadnych zajęciach innych dzieci, tylko oczekiwał na moment, kiedy się po niego zjawie. Gdy wchodziłem, zawsze wolał — Tatusiu. Przykre były momenty, gdy miałem go odprowadzać ze swego domu, ale niełatwo było i te, kiedy go zabierałem, bo wiedziałem, że pozostawiam inne dzieci. Tam panuje tak wielka potrzeba opieki rodzicielskiej. Ale prawdziwej pomocy jest bardzo trudno udzielić. Gest podania książeczki jednemu dziecku jest oczekiwany przez wszystkie dzieci. Gdy pewnego dnia przyszedłem nieco później niż zazwyczaj, czekający na mnie chłopiec strasznie płakał. Historia pracy Koła powoli narastała. Nawiązano kontakty z Kołem im. Jeżewskiego w Warszawie. Zwiedzono dom rodzinny Dowłaszów w Szczecinie. Jest to dom stworzony przez młode małżeństwo, które do swego stadła rodzinnego przyjęło 21 porzucanych sierot. Dwoje własnych dzieci Dowłaszów śpi razem z dziećmi adoptowanymi i wszyscy tworzą jedną rodzinę, w której jest ojciec, matka i

HELENA PLATTA

Kazimierz

Podchodzisz pod fioleto linie punktem narastając gdy horyzont przypada do Wisły wierzbi i wiklin — na przekątni poletek i obrzynku gajów brodate, rude jary wieczory sączą likier. Chłoniesz zieloną grdyką piotunu aromat więc zaraz się zamaję śpiewność w szeple topól Poprzec nurty i lachy rzeka [dym i stygnie nim wyszepeczesz jej imię stawiając — dwukropek.

Kazimierz, sierpień 1962 r.

BOMBA W GIMNAZJUM

WACŁAW KOŚCIANOWSKI

Z PERSPEKTYWY pięćdziesięciu kilku lat najważniejsze nawet przeżycia tracą swą wyrazistość, właściwe proporcje, ostrość — pojawiają jak stare fotografie czy dagerotypy i wywołują już tylko serdeczną pobłażliwość. Cóż znaczy kilkunastogramowa bomba pod gimnazjum lubelskim wobec potwornych kolosów, które jeszcze tak niedawno spadały na kraj. Zapewne... Jednak i ta, skromna rozmiarami bomba była aż nadto głośna, jak na owe czasy.

A czasy były burzliwe. Fala strajków konwulsyjnie przelewała się wzdłuż i wszerz całej Kongresówki — zalewała i carską Rosję. Na protesty wyzyskiwanych robotników odpowiadały salwy karabinów. Strajki, rewolwy, bomby były jedyną bronią głodujących i zrozpaczonych.

Polityka szklan i ucisku dotarła i do szkół, a w gimnazjum lubelskim znalazła może swój najbardziej jaskrawy wyraz. W tym to właśnie czasie jakoś nieoczekiwanie zrodziła się myśl o bombie.

Nieświadomym jej inspiratorem był niewątpliwie Benio Mandelbaum, uczeń gimnazjum szukający się do matury. Wybitnie inteligentny, bardzo wrażliwy, a przy tym wyrobiony politycznie, zaskakiwał często dojrzałością poglądów. Chodził stale jakby podminowany; gnębiła go ciężka atmosfera miasta, areszty, prowokacje, niekończące się stany wojenne. W gimnazjum atmosfera nie była lepsza. Człł swoją bezsilność.

Przyjaźń nasza, mimo różnicy wieku, zrodziła się na gruncie wspólnych zainteresowań sztuką. Benio kochał sztukę, dużo czytał, a pamięć miał fenomenalną. Z wielkim zapalem kolekcjonował reprodukcje arcydzieł galerii europejskich.

W czasie spotkań musiały też docierać do mnie echa ciężkich przeżyć szkolnych, a choć z gimnazjum lubelskim nie miałem nic wspólnego, jednak, dzięki Beniowi, sprawy jego stały mi się bliższe.

— Zapewniam was, Beni, że moja łódzka przemysłowa buda nie była lepsza od waszej — mówiłem — mieliśmy też sporo „stupajek”, amatorów szpicłów, a jednak nas nie ugięli. Oczywiście za „Manifest”, „Przedświt”, czy „Robotnika” wylatywało się z „wilczym biletem”, a sprawę przejmowała żandarmeria, jednak mieliśmy „kółka samokształcenia” i zebrania — nie dawaliśmy się złamać. A wy, kochany Beni, nic. Ani cienia walki. Pogodziliście się z losem. Podłożyliście bombę pod budę! Na pewno takie ostrzeżenie pomogłoby radykalnie.

Benio był wyraźnie zaskoczony takim pomysłem, trzęźwo ocenił własne możliwości — uważał go za zbyt fantastyczny, romantyczny.

Do tematów szkolnych wracaliśmy często, ale o bombie jakoś zapomnieliśmy obaj, przynajmniej ja. Benio widocznie o tym myślał, może się z kimś naradzał, dość, że kiedyś całkiem nieoczekiwanie zapytał:

— Powiedzcie mi, jak się robi bombę?

Bomb nie fabrykowałem, ale z czasów „szczenięcych” miałem aż nadto bolesnych doświadczeń z materiałami wybuchowymi, toteż pod tym względem mogłem się uważać za fachowca.

— Mocny żelazny czerep na jakiś litr, półtora, z nakrywką, proch i dobry lont — to cała filozofia...

Po jakimś czasie do pracowni uroczyste wkroczył Benio z niewielkim, ale ciężkim, opakowaniem w gazety pakunkiem. Położył go na stoliku.

— Czy to nadaje się?

— Doskonale, jak na zamówienie.

— Proch będzie za kilka dni. Znajomy żołnierz Lotysz, partyjny z artylerii obiecał, że w czasie warty ściąganie ze składów amunicji dwa ładunki armatnie.

Rzeczywiście, dwa ładunki armatnie trafiły do pracowni — było tego aż nadto... Ale z tym prochem wiązała się fantastyczna historia.

Po rozpruciu jedwabnych worków okazało się, że jedynie z wierzchu zawierają odrobinę prawdziwego prochu, reszta to drobny węgiel... Z takiego ładunku nie dałoby się wystrzelić nawet na wiat. Niestety, przybawał nowy kłopot. Teraz trzeba by-

ło już z całą ostrożnością proch zaku-

pić. Wreszcie wszystko było gotowe, bomba zmontowana. Była nieco duża, ale zawieszona na parczanym pasku nie obciążała zbyt. Ważnym szczegółem był lont. Musiał działać niezawodnie i być dostatecznie długi, aby po podłożeniu i podpaleniu można się było bez zbędnego pośpiechu oddalić. Teraz chodziło już tylko o podłożenie.

Okno piwniczne pod samą kancelarią szkoły było z wczasu zbadane, ulica słabo oświetlona i mało uczęszczana.

Bomba, zawieszona na ramieniu Benia, pod paltem, wyglądała kompromitująco podejrzanie, zwłaszcza, że był on niski i krępy. Na drugim ramieniu wisiał gąsiorek z benzyną. Ta symetria nie poprawiała jednak sprawy. Moja peleryna malarska nadawała się doskonale, ale sięgała mu po pięty. Trzeba było zamienić rolę — ja będę podkładać bombę, a Benio będzie stanowił osłonę. Miałem pewne wątpliwości, czy kiedykolwiek strzelał z rewolweru, ale nie było innego wyjścia.

O późnym zmroku, a był to chyba październik lub listopad, wyruszyliśmy na wyprawę. Peleryna doskonale maskowała podejrzany bagaż.

Bomba i benzyna zawisły na pasach w piwnicy, zapalenie lontu od papierosa nie nasuwało już trudności. Benio rozpiął się w mroku...

Przeszedłem spokojnie (nie bardzo w to wierzę, abym szedł tak spokojnie) na drugą stronę ulicy. Wstąpiłem do pobliskiego teatru. Hall był rzęście oświetlony. Publiczności sporo. Tłoczono się przy kasie. Nerwowo palilem papierosa, czekając z niezwykłym napięciem. W myślach sprawdzałem wszystkie szczegóły, czy czegoś nie sknociłem...

Nagle rozległ się mocny wybuch. Z brzękiem posypały się na ulicę odłamki szyb. Serce kotłowało mi mocno. W hallu powstał popłoch. Część publiczności ruszyła do sali teatralnej, ciekawsi ostrożnie wysuwali się na ulicę. Oczywiście należałem do najciekawszych.

Ulica wraz z gmachem gimnazjum tonęła w kłębach dymu. Obok teatru, jak oszalały biegł żołnierz. Bez czapki, w narzuconym na ramiona płaszczu, ryczał opętańczo: „dynamit — dynamit”...

W niedługim czasie przygłospowała półseca kozaków. Rozstawili się wzdłuż ulicy, spędzając z trotuaru publiczność. Snuli się już zdenerwowani żandarmi i policjanci. Z głośnym dzwonieniem nadjeżdżała straż ogniowa. Coraz gęstsze kłęby dymu zaślepiły ulicę. Benzyna zrobiła swoje — palły się widocznie jakieś rupiecie.

Publiczność opuszczała teatr, przedstawienie odwołano, nasze natomiast udało się nieźle. Poszedłem i ja do domu.

Przez dłuższy czas nie widywaliśmy się z Beni. Wymagała tego ostrożność, wreszcie przyszedł. Był rozpromieniony.

— Nie uwierzylibyście, jak zmieniła się atmosfera. Nie ci ludzie! Prokurator i sędzia śledczy prowadzą dochodzenia, ciągną wszystkich — zwłaszcza starszych, badają, wypytyują. Nie dowiedzą się niczego, bo nie było wtajemniczonych...

W każdym razie głośny protest był skuteczny, a zdaje się, że w czasie wyprzedził nieco wielki strajk szkolny, który zapoczątkował walkę o Szkołę Polską.

Z matury jednak wyszły nicoi. Mimo wszystko Benio był „podejrzany”. Wyszło mu to jednak na dobre. Pomysłne okoliczności pozwoliły mu na wyjazd na dalsze studia do Paryża. Nie posiadał się z radości. Nieoczekiwanie miał się znaleźć w prastarej kolebce sztuki. Prześcignęło to jego najmielsze marzenia. Serdecznie mu zazdrościłem.

Od tych pamiętnych wypadków kontakty nasze urwały się na długie lata. Tak się nieszczęśliwie składało, że kiedy, choć rzadko, przyjeżdżał z Paryża, mnie w Lublinie nie było.

Wreszcie przyszła pierwsza wojna, a z nią i Wielka Rewolucja. Służyłem w wojsku kilka lat — wróciłem do kraju dopiero w osiemnastym roku. Nie zdążyłem odsapnąć, kiedy rozpo-

O D O M dla sierot

(Dokończenie ze str. 10)

zaczęły przysyłać składki na cel budowy osiedla wiosek dziecięcych. Rada Robotnicza Kraśnickiej Fabryki Wyrobów Metalowych ofiarowała po 3 tysiące złotych rocznie, poważnie dochody zaczęły napływać z FSC, WSK Swidnik, Cementowni Rejowiec, od zakładów przemysłowych z rejonu krakowskiego i śląskiego, od różnych spółdzielni i osób prywatnych. Rada Miejska w Kraśniku Fabrycznym zafiarowała teren pod budowę osiedla, składki zaczęły płynąć nawet z zagranicy. Projekt koła kraśnickiego znalazł poparcie wśród posłów PRL, naukowców, kilka redakcji, a szczególnie „Sztandar Młodych” zaczęło się nim aktywnie interesować. Grupa dziennikarzy towarzyszących ministrowi Rappackiemu podczas jego wizyty w Austrii, zwiędzając wioskę dziecięcą SOS w Hinterbrühl obiecała zająć się zamierzeniami budowy podobnego osiedla w Polsce. Projekt dotarł także do ministra Tułodzieckiego i obecnie Ministerstwo Oświaty wyraziło swe poparcie dla budowy eksperymentalnego osiedla wiosek dziecięcych w Kraśniku Fabrycznym. Stosunkowo ostrożne stanowisko reprezentował dotychczas w tej sprawie jedynie Zarząd Główny TPD, jak również Kuratorium w Lublinie. Dzięki jednak nawiązaniu bliskich kontaktów z wojewódzkimi władzami partyjnymi w dniu 8 października br. odbyła się bardzo ważna narada działaczy partyjnych i kuratorów przybyłych do Kraśnika specjalnie w celu szczegółowego omówienia projektu. Podczas spotkania zarysowała się jednak dość wyraźna różnica zdań. Otóż kuratorzy Kargul i Prusz wypowiadali zdanie, iż opiekę nad dziećmi w poszczególnych domkach powinny piastować pary małżeńskie, nie same matki. Za taką opinią przemawiają przede wszystkim trudności wychowawcze, na jakie natyka się w prowadzonych już od lat państwowych domach dziecka. Obecnie na terenie Lubelszczyzny znajdują się 22 domy, z których w każdym przebywa około 30 dzieci. Niemniej już teraz na dalsze miejsca oczekuje 1150 dzieci, które na mocy wyroków sądowych należałoby odebrać ich dotychczasowym opiekunom. Przeważnie są to dzieci pochodzące z rodzin zdemoralizowanych lub obciążonych alkoholisizmem. Do kuratorium zgłosiło się około 40 małżeństw starających się o adopcję. Jednakowoż żadne z tych małżeństw nie przyjęło dzieci, nie można bowiem było znaleźć jednostek odpowiadających wymaganiom rodziców. Faktem wskazującym na trudności wychowawcze związane z środowiskiem dzieci przebywających w PDD — jest to, że wśród normalnych dzieci uczęszczających do szkół podstawowych tylko 7% nie otrzymuje promocji, natomiast wśród wychowanków PDD procent ten urasta do 12,5. Do państwowych domów dziecka skierowywane są przeważnie dziewczynki i chłopcy w wieku lat 11

częła się nowa wojna i służba w Wojsku Polskim. Benio, jak się dowiedziałem, przez cały czas był w Rosji, brał udział w Rewolucji, a nawet został do pewnego stopnia dygnitarzem. Był zastępcą komisarza Lunaccarskiego do spraw muzealnych. Dzięki jego wpływom wielu Polaków mogło powrócić do Polski.

Po latach, a było to na parę miesięcy przed moją demobilizacją, w czasie słotnego wieczora, niespodziewanie spotkaliśmy się z Beni. Benio na Chmielnej. Z podniesionym koinierzem mały Benio szparko pomykał. Ucieszyliśmy się obaj z tak nieoczekiwanego spotkania. Usunęliśmy się do bramy, aby choć chwilę pogadać. Tyle lat...

— Pamiętacie tę naszą bombę lubelską? Otóż w czasie pobytu w Moskwie poleciłem, aby mi dostarczono z archiwów sądowych akta sprawy lubelskiej. Ciekaw byłem, co znaleźli. Wyobraźcie sobie — nic, literalnie nic. Ostatecznie sprawę umorzyli. Cóż można było, przy najskrupulatniejszym nawet badaniu, znaleźć, skoro nie było wtajemniczonych.

— A czy pomyśleliście, Beni, o tym, że ten nasz, tak romantyczny,

do 12 lat to na ogół dzieci, które dotąd pozostawały pod kuratelą jakichś krewnych czy opiekunów, a obecnie zdemoralizowane i opóźnione w nauce zostają poddane wychowaniu państwowemu. Jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy kobieta „matka” zdołałaby zapanować nad nieco większą gromadką takich właśnie dzieci. Również mało prawdopodobne jest, aby znalazły się kobiety, które chciałyby się poświęcić takiej pracy i z góry zrezygnować z małżeństwa. Wreszcie eliminacja osoby ojca skrzywiłaby profil pełnej rodziny, w której nie mogłoby zachodzić współdziałanie funkcji wychowawczo-moralnych, płynących nie tylko z serca i dobroci, ale także z siły i rozumu.

Jakkolwiek przedstawione tu argumenty wydają się bardzo istotne, jednak nie podważają one podstawowej zasady, którą chciało kierować się w swym czysto eksperymentalnym projekcie Koło TPD w Kraśniku. Najważniejszą przesłanką przemawiającą za przekazaniem funkcji wychowawczej w ręce samej kobiety „matki” jest stworzenie odrębnej, niezależnej, podporządkowanej jednemu tylko celowi, osobowej instytucji wychowawczej. Zastępując rolę „matki” pełnym małżeństwem wprowadzilibyśmy w ramy domu opiekuńczego dwie odrębne instytucje — małżeństwo ze swymi dziećmi oraz dzieci dokooptowane. Podjęcie w osiedlu pracy przez małżeństwo mogłoby być powodowane względami czysto materialnymi. Aspiracje życiowe ojca rodziny, z reguły zatrudnionego zawodowo poza osiedlem, wychodziłyby zawsze poza krąg spraw związanych z życiem wioski. Aspiracje te prawdopodobnie często stawałyby się przyczyną odejścia małżeństwa z podjętej poprzednio pracy, w poszukiwaniu nowych, lepszych środków zarobkowania. Wreszcie wprowadzenie do wioski własnych dzieci małżeństw opiekuńczych podwyższałoby znacznie koszt utrzymania osiedla. Mimo to uwaga o konieczności współdziałania w procesie wychowawczym funkcji rozumu i serca wydaje się bynajmniej niebagatelna. Mało jest bowiem prawdopodobne, aby przewidziany w projekcie kierownik osiedla mógł sprostać obowiązkom ojcowskiej kurateli nad 15 grupami dzieci. Wydaje się, że w osiedlu mogłoby być zatrudnionych więcej mężczyzn, co zresztą w projekcie w jakiejś mierze jest przewidziane. Można by również przewidzieć osadzenie w niektórych domkach pełnych małżeństw, z których strona męska byłaby zobowiązana do udzielania pomocy kobiecemu kierownikowi innych domków. Wreszcie wydaje się, że jakkolwiek na stanowisko „matek” winny być przyjmowane kobiety wolne i nie mające zamiaru zawarcia związku małżeńskiego, to jednak zmiana decyzji w tym względzie, podjęta przez osobę od kilku lat pracującą już w osiedlu, nie powinna być podstawą do zwolnienia jej z piastowanych funkcji.

Dyskusja na te wszystkie tematy podczas narady kraśnickiej ciągnęła się jeszcze długo, gdyby nie przerwało jej pełne napięcia wystąpienie pediatry dr Genowefy Szczęśniakowej.

Przemówienie to podziało jak iskra zapalna na zebranych. Wkrótce ustalono, że obecni na naradzie kuratorzy podejmą starania o zmianę przepisów prawnych (prawo karne i przepisy finansowe), po to by umożliwić działanie takich nieznanych dotąd w Polsce, nowych ośrodków wychowawczych jak wioski dziecięce. Postanowiono również, że w najbliższym czasie zbierze się w Lublinie narada inwestycyjna poświęcona omówieniu konkretnego projektu budowy osiedla, który również musi być wciągnięty w plan WKPG.

Decyzja w sprawie budowy osiedla sierocego zapadła. Była owocem starania i inicjatywy mieszkańców Kraśnika, którzy kierowani uczuciem ludzkiej przyjaźni pragnęli służyć pomocą opuszczonym dzieciom. Ale model wychowawczy osiedla dziecięcego, sprawa wyboru „matki” czy pełnego małżeństwa, nie została rozstrzygnięta.

Stanisław Jan Rostworowski

Dopisek Redakcji: Chętnie poświęcimy łamy „Kamery” dyskusji na ten temat.

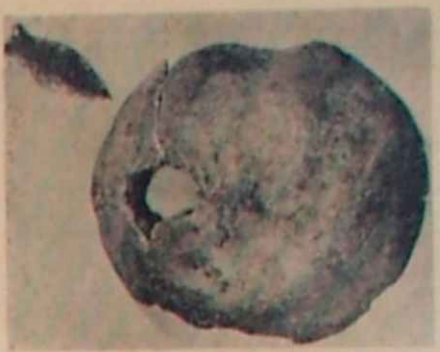
ARCHEOLOGIA jest jedną z dziedzin wiedzy, którą trudno sobie wyobrazić bez współpracy społeczeństwa. Współpraca ta wyraża się przede wszystkim w zrozumieniu wartości naukowej i społecznej zabytków prehistorycznych, będących cennym, a często i jedynym źródłem wiedzy o życiu i kulturze naszych przodków. Przez ogłaszanie rezultatów badań naukowych, efektów prac wykopaliskowych pragniemy informować społeczeństwo o najnowszych zdobyczach archeologicznych, a co za tym idzie rozpowszechniać idee współpracy w dziedzinie ochrony zabytków i wciągać w nią jak najliczniejsze warstwy społeczeństwa.

ZAMOJSZCZYŻNA - kraj tysiąca kurhanów

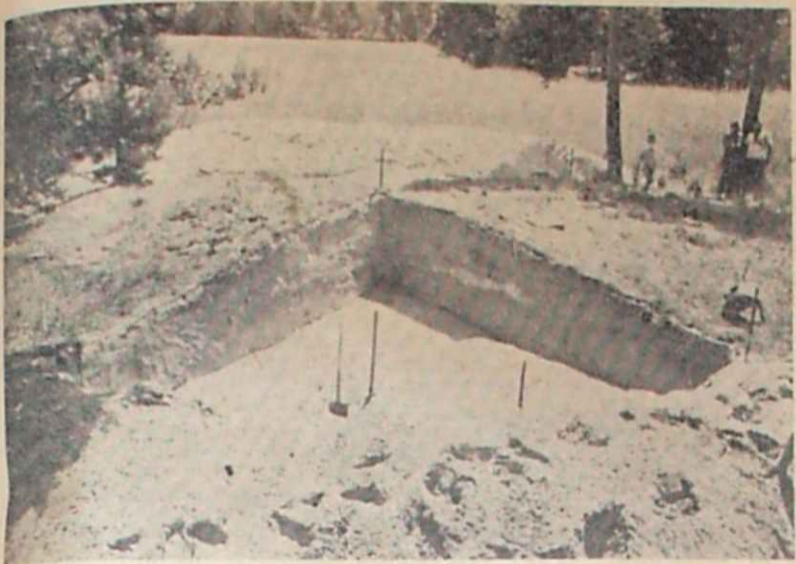
RENATA ROGOZIŃSKA

teriałów odnoszących się do zagadnień związanych z problematyką badań zwyczajów pogrzebowych plemion hodowców wczesnej epoki brązu w południowej części Lubelskiego. Plemiona te, których nazwa nie jest nam znana, a które weszły do literatury archeologicznej pod nazwą kultury „trzcinięckiej”, uważane są przez niektórych archeologów za należące do prasłowiańskiej grupy językowej.

nych stosów. Jak wykazała analiza antropologiczna, mamy tu do czynienia ze szczątkami starego mężczyzny, dwu mężczyzn w wieku dojrzałym, kobiety oraz dziecka lat 9-11. Na uwagę zasługuje fakt, że w czasie jednego ze zmarłych w wieku dojrzałym tkwił krzemienisty grot strzały do łuku. Zmarły ten, jak się zdaje, poległ w czasie walk. Inna czaszka, należąca również do mężczyzny zmarłego w wieku dojrzałym, wykazała ślad trepanacji, w postaci półkolistego wycięcia w łusce kości potylicznej. Być może mamy tu jeszcze jeden dowód na istnienie jednego z najstarszych kultów, którego ślady sięgają do starszej epoki kamiennej, a mianowicie kultu czaszek. Czaszka uważana była za siedlisko duszy i celowo otwierano ją dla rytualnego spożycia mózgu. Wypadki takie są znane w Europie w starszej i młodszej epoce kamienia. Nie zawsze otwieranie głów wiązało się z praktykami kanibaliskimi, mogło stanowić także przedmiot osobnego kultu. Łącznie z tym kultem znany jest i rozpowszechniony w starożytnej Europie zabieg tak zwanej trepanacji, czyli wycięcia okrągłego otworu z kości potylicznej żyjącego człowieka. Zabieg taki miał znaczenie kuracyjne, ale najczęściej wiązał się raczej z zabobonami. Blaszką uzyskaną z trepanacji uchodziła za bardzo cenny amulet. Podkreślić tu należy, że zabiegi te były stosowane przez pierwotnego człowieka oczywiście w prymitywnych warunkach i przy użyciu prymitywnych krzemienistych narzędzi.



Guciów — kurhan XIII
Czaszka, w której tkwił grotik krzemienisty



Guciów (pow. zamojski)
Kurhan nr 9 w trakcie rozkopania

Chciałabym poinformować Czytelników o wynikach poszukiwań i wykopalisk prowadzonych w Guciowie (powiat zamojski) i okolicy w latach 1959-1961 oraz o pracach badawczych zakończonych na rok bieżący.

W krótkiej notatce z 1960 r. podana została informacja o pracach przeprowadzonych na kompleksie stanowisk z wczesnej epoki brązu (druga połowa II tysiąclecia przed n.e.) nad górnym Wieprzem. Na terenie wsi Guciów, Bondyż, Hutki, Dominikanówka i in. ujawniliśmy wówczas cmentarzyska mogił-kurhanów i ślady współczesnych im osad. Do najciekawszych odkryć poprzednich kampanii badawczych należą mogiły-kurhany w Guciowie. Mogiły te tworzą rozległe cmentarzysko mieszczące się na piaszczystych wzniesieniach lewego brzegu Wieprza. Podjęcie systematycznych badań tego cmentarzyska jest jedną z poważniejszych prac archeologicznych w Lubelskiem w latach ostatnich. Wynikami tych prac było m. in. uzyskanie nowych niezmiernie interesujących ma-

Z punktu widzenia problematyki badawczej najbardziej interesujące materiały uzyskaliśmy przy badaniu cmentarzyska kurhanowego (ok. 70 mogił-kurhanów), a specjalnie przy badaniu „Wielkiej” mogiły. Posiadała ona kształt owalny o średnicy ok. 13 m. Pod nasypem, w centrum, znajdowała się podłużna jama grobowa, której głębokość sięgała do 2 m. Jama otoczona była kręgiem pionowo wbitych pali, które uległy spaleniom. Stwierdzono tam również ślady poziomych, zwęglonych dranic związanych z wymienioną konstrukcją „pałową”. W jamie, poniżej stwierdzono szczątki kostne pięciu osobników. Kości szkieletów wykazują ślady celowych uszkodzeń. Być może mamy tu do czynienia ze zwyczajem ćwiartowania zmarłych przed złożeniem ich do grobu. Ale to nie jest zupełnie pewne. Zaobserwowano też, że kości złożone były na czterech stosach, a nie w układzie anatomicznym. Górne części czaszek zaś, włożone jedna w drugą, znajdowały się pośrodku wyżej wymienio-

Z innych znalezisk w grobie wewnątrz „Wielkiej” mogiły zasługuje na uwagę fragment małego naczynia oraz płaska siekierka krzemienista, które być może reprezentują dary grobowe. Opisaną wyżej mogiłę, oznaczoną na planie ogólnym Nr XIII, uważać możemy za typ pochówku zbiorowego, odbiegającego swym charakterem od dotychczas znanych grobów uważanych za charakterystyczne dla kultury trzcinięckiej. Rzuci się tu w oczy przede wszystkim fakt, że szczątki zmarłych zostały przed pogrzebaniem pościartowane. Może wydawać się, że mamy tu do czynienia ze śladem ofiar z ludzi.

Sumując rezultaty badań „Wielkiego” kurhanu uzyskaliśmy nowe, nieznane dotychczas dane odnośnie kultu zmarłych u plemion kultury trzcinięckiej zamieszkujących w przeszłości tereny środkowego Roztocza.

Z innych prac wspomnieć należy o podjęciu wykopalisk w miejscowości Bondyż, gdzie w latach 1960-1961 rozpoczęto badania osady ludności kultury trzcinięckiej. Osada ta reprezentuje typ osiedla wiejskiego złożonego z domów mieszkalnych typu półziemiankowego. Zbadanie tej osady pozwoli niewątpliwie lepiej zorientować się w zagadnieniach związanych z ustrojem społecznym i gospodarczym u ludności tej kultury.

Cmentarzyska kurhanowe oraz osady z wczesnej epoki brązu odkryte w powiecie zamojskim będą nadal badane. Wyniki tych prac zostaną opracowane w specjalnej monografii poświęconej zagadnieniom kultury trzcinięckiej w południowej Polsce. Opracowane również zostaną pradželje powiatu zamojskiego.

Dotychczasowy plon archeologiczny nie przynosi gotowych rozwiązań, a więc z punktu widzenia nauki badania te należy kontynuować, tym bardziej że czas zacierza wszelkie ślady, zniekształca prawie kompletnie oblicza dawnej powierzchni ziemi.

Z tego też względu prosimy wszystkich posiadających wiadomości o odkryciu zabytków archeologicznych i ich niszczeniu o zawiadomienie o tym Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków (Lublin, Plac Litewski 1, I p.).



Guciów — kurhan XIII
Naczynie z nasypu

Biała plama na białostkach

(Dokończenie ze str. 5)

cie tegorocznego sezonu teatralnego w Kielcach nie było sukcesem. Trafiałam właśnie na premierę, sądzę więc z autopsji. Wystawiono „Lilę Wenedę”. Ryzykowne to przedsięwzięcie, kiedy się nie ma właściwej obsady. Drugim błędem było niewątpliwie skupienie inscenizacji, reżyserii i scenografii w jednym ręku, w mocarnej dloni dyrektorskiej. Nie sądzę, by brakowało w zespole zdolnych aktorów: Elżbieta Cegielska (rola tytułowa) i Zbigniew Stawarz (Poelum) byli ujmująco szczerzy, Maria Drzewiecka, bardzo dobra aktorka, znana Lublinowi, grała Gwinonę z temperamentem, a Janina Mrzerek (Roza Weneda) w podobny sposób unikała patosu. Prześpraszam za zniekształcenie nazwisk, ale zdalnie kierownictwo literackie nie zatroszczyło się o programy drukowane. Z tym wszystkim przedstawienie w wielu partiach załatywało teatrem amatorskim. Miejmy jednak nadzieję, że sezon, gdy się rozkręci, będzie lepszy niż jego początek.

Jakiż jest jednak mój ogólny wniosek? Myślę, że mimo trudności, z którymi walczy województwo, nie ma w danej chwili powodu do załamania rąk, raczej należałoby zakasać rękawy i zabrać się ostro do roboty w kulturze miasta Kielc: wyeksmitować uparte TWP z pałacyku naprze-

ciwko Parku Żeromskiego i oddać ten pałacyk arcybogatej Bibliotece Miejskiej, wybudować czym prędzej biurowiec i poprosić do niego władzę z wysokiego Zamku, Zamek zaś dać (zresztą według planu) do dyspozycji Muzeum, którego dyrektora, p. Obornego, pozwalam sobie zaliczyć do najciekawszych ludzi poznanych przeze mnie w Kielcach — do ludzi zupełnie wolnych od kompleksu prowincji.

A poza tym otuchą napawa żywa działalność Domu Kultury i dynamiczne, zadziorne środowisko dziennikarskie, rozporządzające taką dogodną kwaterą sztabową, jaką może być własna kawiarnia.

Summa summarum o „białej plamie” na Kielecczyźnie nie powinno się mówić. Województwo jest jednym wielkim placem budowy i ma przed sobą niezawodną perspektywę awansu.

Maria Bechzyć-Rudnicka

ZASZCZYTNE WYRÓŻNIENIA

W Białymstoku, w m-cu październiku obradowała I Krajowa Narada Przyjaciół Książki. Na zaszczyt taki w pełni miało zasłużyć, jak to podkreślił wiceminister kultury i sztuki — Z. Garstecki: Wojewódzka i Miejska Biblioteka uzyskała pierwszą nagrodę MKiS w ubiegłorocznym konkursie „Wiedza pomaga w życiu”.

Intencją Ministerstwa przy organizacji takiej narady było, żeby biblioteki stały się placówkami w pełni społeczno-użytecznymi w swych środowiskach — stwierdził wiceminister, — by sprawniej niż dotąd przebiegła

Z BIAŁOSTOCKICH WYSTAW

(Dokończenie ze str. 7)

W wąskim wysokim-prostokącie wkomponowana jest równie wydłużona i chuda postać. Sylwetka zaznaczona smiałą, silną kreską znamionującą niemal wszystkie prace artysty. Charakter postaci i kompozycja przypomina stare bizantyjskie freski, pomijając oczywiście zupełnie inną technikę wykonania, jest to bowiem gipsoryt. Wystawa obejmuje wyłącznie gipsoryt i linoryty. Ta praca robi bardzo silne wrażenie i zatrzymuje długo mój wzrok.

Obok wiszą inne prace, które pan Chudzik nazwał ogólnie cyklem — „Człowiek”. Jest więc tam ciekawe kompozycyjnie — „Kolo” — na jednolite szarym tle, połączone rękami postacie, zupełnie jak przy zabawie w kolo. Robią nieco dziwne wrażenie, gdyż artysta pozwolił sobie zakpić z tej dziecięcej zabawy ubierając bawiące się postacie w wizerunek pasiaków. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Postacie są bardzo mocne, co artysta uzyskał przez spojrzenie „na nie z

góry. Dało to skrócenie postaci i ich skondensowanie.

Przykre wspomnienia budzi praca zatytułowana „Pieczęcie powieszonych”. Są to bezwładnie zwisające nogi. Jest w tej pracy sporo ładunku publicystycznego, i mimo że niczym nie zaznaczono w niej przyczyny tej potwornej masowej zbrodni, każdy Polak znajdzie od razu właściwy adres. Jeszcze jedna praca zasługuje na uwagę, mianowicie „Koguty”. Odbiega ona od innych realizacją — napuszone i buńczuczne koguty szykujące się do skoku są potraktowane kreską cienką, czasem ledwie zaznaczoną, która robi wrażenie, że koguty zostały uchwycone w największym wirze walki. Czuję się tu niemal lecące pióra. Z innych prac wymienić trzeba jeszcze takie, jak: „Struś”, „Ogród”, „Czarna Afryka”.

W sumie wystawa bardzo interesująca i warta obejrzenia. Mówimy o niej długo, w rozmowie dowiaduję się, że niektóre z wystawionych prac były ekspozowane przed rokiem w Austrii na wystawie twórczości polskich studentów.

Pytam p. Chudzika o plany na przyszłość: A więc Białystok? Tak. Tym bardziej, że żona, także plastyczka, mieszka już w Białymstoku i posiada tu pracownię. Obdarowany katalogiem, będącym zarazem autentyczną odbitką jednej z prac, rozstaje się z na pewno ciekawym grafikiem.

Z. Ryć.

koordynacja poczyniła między domami kultury i świetlicami a bibliotekami.

Zebrań obradowali w trzech sekcjach: I. Zadania społecznego ruchu przyjaciół bibliotek. II. Rola bibliotek w szerzeniu współczesnych osiągnięć nauki, techniki i sztuki i III. Współpraca bibliotek, księgarń i wydawnictw.

W pierwszym dniu obrad wygłoszono dwa referaty: Funkcja społeczno-

oświatowa biblioteki w środowisku na tle doświadczeń Konkursu „Wiedza pomaga w życiu” — Czesława Kuzioła oraz Czesława Kaluźnego — O udziale ruchu społecznego w upowszechnianiu czytelnictwa. Następnie uczestnicy obrad spotkali się z pisarzami Czeską i Strykowskiem. W drugim dniu po dyskusjach w sekcjach i na plenum podsumowania obrad dokonał minister Garstecki.

NOWA POWIEŚĆ

WALDEMARA
BABINICZA

WIEŚLAW GŁOWACZ

WALDEMAR Babinicz — to dzisiaj cała instytucja. Niejeden z pewnością zastanawiał się, jak autor „Listów z parafii” zdąży zrealizować swój dzienny plan pracy, jak wygląda jego dzień powszedni. Niepożyty, pełen energii i pomysłów, z jednakowym zapamiętaniem zajmując się szeregiem spraw, jeśli tylko wchodzi one w orbitę jego zasadniczych zainteresowań. Dwie zwłaszcza cechy wyróżniają Babinicza spośród licznych przecież grona ludzi kultury. Są to działalność oświatowa i praca literacka. Działacz kulturalny i pisarz — oto kim jest dzisiaj twórca „Apostolów”.

Wieloletnia znajomość polskiej wsi, stały kontakt z jej mieszkańcami, orientacja we wszystkich nurtach, którymi płynie tamtejsze życie, nade wszystko zaś niezwykła żarliwość w pracy z młodzieżą — czynią zeń wyjątkowego człowieka. Dyrektor Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy zna młodzież, jak mało kto. Wiedza o jej psychice, sposobie myślenia i wartościowania świata sumują się tworząc mocny zgrab, na którym opiera się druga zasadnicza cecha charakteryzująca Waldemara Babinicza, jego pisarstwo. Ta działalność literacka jest również specjalnego rzędu. Klimat Kielecczyzny, tak życiodajny dla wybitnych nazwisk naszej literatury, wyraźnie uprzywilejowuje pisarzy-społeczników, którzy swą pracę literacką widzieli w ścisłym związku z potrzebami społeczeństwa i czasów im współczesnych. Jest rzeczą zrozumiałą, że nazwisko Stefana Żeromskiego nasuwa się na myśl. Jeśli przy okazji najnowszej powieści Waldemara Babinicza pod tytułem „Obecny”, którą dopiero co otrzymaliśmy do rąk, można mówić o kontynuacji nurtu społecznikowskiego, to warto zaznaczyć, że pisarstwo Babinicza zajmuje odrębne miejsce w geografii literackiej. Charakteryzuje się autentycznością obrazu literackiego.

Parę lat temu tygodniki kulturalne publikowały cykl „Listów z parafii”, który później ukazał się w edycji książkowej. Cóż to była za interesująca lektura. Autor wystąpił w zasadzie w roli kronikarza, niekiedy tylko sarkazmem, podkreśleniem pointy mocniej zaznaczał swoje polemiczne stanowisko w sprawach przekazywanych czytelnikowi. Treść „Listów” stanowiła prawdziwą rewelację, zmuszała do myślenia ludzi, którym stan rozwoju życia kulturalnego nie jest i nie może być obojętny. To były meldunki pisane z poligonu — jakże przemysłnie, inteligentnie prowadzonej walki o... rząd dusz. Podział na to, co świeckie a co parafialne nigdzie nie zacierają się tak często jak na wsi.

Autentyczność spisywanych faktów, reportażowa ścisłość nie pozwalały odłożyć lektury na bok. Prowokowały do podjęcia energicznych przeciwdziałań. Podejmuje je przede wszystkim młodzież.

Wchodzenie w życie młodego pokolenia, miejsce młodzieży w życiu wsi i małego miasteczka skupiają głównie uwagę pisarza. Jedną z ostatnich jego książek, tom opowiadań „Apostolowie”, była w dużej mierze kontynuacją rozważań o roli młodego pokolenia, które jest zaczynem zmian zachodzących na polskiej prowincji.

Najnowsza powieść Babinicza — „Obecny” jest próbą stworzenia monografii pokolenia osiemnastolatków wywodzących się z kręgu społecznego bliźniego pisarza. Jeśli można mówić o zbliżeniach z „Syzyfowymi pracami” Żeromskiego, to odnosi się one głównie do podobieństwa typograficznego. Są załącznikiem do rozważań socjologa, badacza psychiki, jak bardzo okres dzielący powstanie obu książek brzemienny był w zmiany wszelkiego rodzaju.

Akcja powieści toczy się w miasteczku Oltarzew. Władka Warde, głównego bohatera oraz jego najbliższych przyjaciół, uczniów dziesiątej klasy miejscowego gimnazjum poznajemy na kilka miesięcy przed zdaniem matury. Władek popełnia kradzież. Bierze pieniądze z kieszeni płaszcza wiszącego w pokoju nauczy-

(Dokończenie ze str. 4)

tak, że uczeń poskarżył się w domu, iż nauczyciele wymagają, by w czasie przerwy na korytarzu chodzić parami, a nie biegać komu jak się i gdzie podoba. Matka uwierzyła żalom dziecka i przysłała do szkoły „sprawdzić” owe ograniczanie swobody.

W numerze 6/62 miesięcznika „Nowa szkoła”, w artykule „W walce z drugorocznością”, Irena Pacholczyk uznała, że podstawowym ogniwem walki z drugorocznością są w szkole klasy I—IV. Jeżeli patrzymy tylko na potrzeby szkoły podstawowej, to racja. Ale drugoroczność i odsiew do także zmoży szkoły średniej. Zestawiając więc wywody autorki z dalszymi rozważaniami, trzeba zająć stanowisko, że dla szkoły średniej takim ogniwem są klasy V—VII, a w przyszłości V—VIII.

Bardzo wiele szkół wiejskich ma ciężkie warunki pracy w klasach młodszych. Ciasna izba lekcyjna, brak pomocy naukowych, czasem (przy połączonych oddziałach) za wielką liczbą uczniów, nie mówiąc już o niesprzyjającej pracy dziecka atmosferze domowej i o braku przedszkole — rzutują bardzo poważnie na wyniki pracy. Często się zdarza, że kiedy dziecko takie przejdzie do miasta i trafi do klasy prowadzonej w lepszych warunkach, nie może się przyzwyczaić i dopasować do kolegów bardziej zaawansowanych. O gorszym przygotowaniu absolwentów szkół wiejskich mówi się bardzo często, nie bez pewnej oczywistości dożył słuszności. Nawet niektórzy rodzice uczniów tych szkół gotowi są do wy-

cielskim. Stosunek do popełnionego przestępstwa przewija się jako jeden z motywów powieści. Ocena tego czynu sprawia jednocześnie, że krystalizuje się świadomość chłopca. Pełna wewnętrznej szamotanii droga, którą chłopiec przechodzi, doprowadza go w końcu do uzyskania dojrzałości wewnętrznej.

Znajomość realiów życia obyczajowego powoduje, że te właśnie partie powieści należą do najciekawszych. Tryb postępowania Władka i jego przyjaciół, tak bardzo współczesnych w swoich reakcjach, potwierdza tezę pisarza, że jego bohaterowie — to ludzie dojrzały. Mają swoje problemy, wcale nie łatwe do rozwiązania, niechętnie się zresztą zdradzają z nimi, tym bardziej, że będąc niezależnymi myślowo, do ugruntowywania postawy etycznej i światopoglądowej dochodzą drogą własnych, trudnych doświadczeń.

Pisarz nie szczędzi tonu polemicznego scenom, których bohaterami są przedstawiciele starszego pokolenia; grono nauczycielskie, wychowawcy, ksiądz proboszcz, z dużą znajomością mentalności swoich parafian kokietyjący otoczenie atrybutami nowoczesności w postaci własnego, dużej klasy samochodu. Autor przypomina szkole, że od klimatu, jaki w niej panuje, w poważnej mierze uzależniony jest rytm przemian dokonujących się w umysłowości młodzieży. Im lepsza znajomość psychiki uczniów, im większa uczciwość i prostolinijność w postępowaniu dorosłych — tym więcej szans na wzrost wzajemnego zaufania do siebie obu stron.

W szeregu udanych portretów obywateli miasteczka Oltarzew, jak kapitalny doręcznik Szczyr, dobrze uchwycone typy pań z kola rodzicielskiego, jak przeciwstawne postawy matek, nieprzekonywająca wydaje się postać Nosa, którego filozofia życiowa wzięta jest z innego tworzywa literackiego. Być może jest on zapowiedzią klimatu powieści psychologicznej, nad którą obecnie autor pracuje.

Twórczość literacka Waldemara Babinicza adresowana jest do określonego typu czytelnika, ciekawego realistycznych obrazów życia współczesnej prowincji. Zmiany zachodzące w jej scenarii, wejścia na jej scenę kolejnych bohaterów znajdują w Babiniczu wnikliwego obserwatora, który nie tylko skrupulatnie odnotowuje wszystko, co godne jest jego uwagi, ale korzystając z prawa każdego pisarza tworzy na marginesie własny komentarz. Z not spisywanych na gorąco bierze początek jego publicystyka społeczna i obyczajowa. Ona stanowi — kto wie, czy nie najcenniejsze tworzywo utworów beletrystycznych, których dziełami jest powieść „Obecny”.

* W. Babinicz — „Obecny”. Czytelnik, W-wa 1962, str. 324.

WSPÓŁ- ODPOWIE- DZIALNOŚĆ

głaszania tego poglądu, z krzywdą uczących w tych szkołach nauczycieli. Znam bardzo wielu tych swoich zasiedziały na wsi kolegów. Znam jednak także i rodziców ich uczniów. Trzeba szczerze powiedzieć, że nauczyciel na wsi bardziej skrupulowany jest w sprawliwym ocenianiu ucznia. Bardzo wielu rodziców uważa tam za wieczny kamień obrazy okoliczność utrzymania świadectwa szkolnego z decyzją „niepromowany” (ja takiego świadectwa nie przyjmuję...) i bardzo wielu, bez względu na to, czy się zna, czy nie zna na nauce, krytykuje całość klasyfikacji szkolnej.

W ubiegłym roku zgłosił się do mnie pewien ojciec z chłopcem, absolwentem szkoły wiejskiej. Były to już pierwsze dni września. Pokazał mi świadectwo szkolne ze wszystkimi ocenami dostatecznymi i prosił o pomoc w umieszczeniu syna w miejscowym liceum. Zdziwiłem się, że tak późno przychodzi w tej sprawie i dając do mnie... Okazało się, że synek zdawał już do jednej ze szkół zawodowych w Lublinie. Nie zdał jednak. Kiedy zapytałem o powód niezdania, usłyszałem charakterystyczną odpowiedź:

— Przecież pan widzi, jakie mu świadectwo w naszej szkole wystawili, same dostateczne... Tam w Lublinie powiedzieli, że gdyby miał lepsze stopnie w naszej szkole, to by zdał.

Moje wstawienie się byłoby i tak bezskuteczne. Nie próbowałem go oczyścić, bo w liceum komisje egzaminacyjne były już rozwiązane. Zamierzałem tylko przekonać owego ojca, że myśli, że chłopak na egzaminie musiał się zwyczajnie „oblać” i że wystawienie lepszych stopni naraziłoby tylko na szwank opinię nauczycieli. Nie przekonałem go jednak. Powiedział mi, odchodząc:

— Pan wie swoje, a ja wiem, że u nas inni gorzej się uczyli, a otrzymali lepsze stopnie...

Rozmiałem się z owego ujęcia sprawliwosci szkolnej, bo przypomniało mi się, że i w mieście niektórzy rodzice tak często mówią. I w mojej szkole tak się zdarzało.

A teraz jeszcze inna sprawa, która jest twardym orzechem do zgryzienia dla wielu wiejskich szkół. Myślę o wyposażeniu szkoły w pomoce i o świadczeniach rodziców na ten cel. Szkoły w miastach mają oczywiście często lepsze warunki budżetowe (partycypowanie w korzystaniu chociażby z nadwyżek budżetowych), ale też mogą łatwiej zdobyć coś z funduszów komitetów rodzicielskich i z dobrowolnych składek samych rodziców. W powiecie lubartowskim wiele szkół wiejskich nie może na taką pomoc liczyć. Powodem jest tu zwykła, jakimś nieuzasadnionym skąpstwem kierowana niechęć rodziców. Taka obojętność bardzo boli nauczycieli i odbija się na wynikach nauczania. Przecież jeżeli w szkole brak pewnych pomocy do nauki, to zdarzyć się może, że na egzaminie do szkoły średniej zdający otrzyma do opisanego przedmiotu, którego albo w szkole nie widział, albo nie miał do niego częstego dostępu, gdyż taki przedmiot był tylko jeden.

Takie dziwne stanowisko rodziców spotykamy zresztą i w miastach. Tylko tu łatwiej się z mentalnością ludzką uporać. W niektórych środowiskach lubartowskich pokutuje opinia, że opłaty na komitet rodzicielski (30 zł od ucznia na rok) są niezgodne z zasadą bezpłatności szkoły. Bezpodstawność takich przypuszczeń łatwo sprawdzić przy stu procentowej możliwości skontrolowania, na jakie cele idą owe dobrowolne składki rodzicielskie. Osobiście znam wiele wypadków uchylania się od świadczeń na potrzeby szkoły przy równoczesnym liczeniu, że gdy tylko absolwent szkoły podstawowej zda do średniej, to będzie otrzymywał stypendium. Myślę oczywiście o rodzinach zasobniejszych.

Coś podobnego do sprawy świadczeń dzieje się na odcinku wyposażenia ucznia w pewne pomoce droższe niż zwykle podręczniki. Widziałem wiele domów, w których uczniowie mają obszerne „kąciki” do pracy naukowej. Nierzadko w tych swobodnych, aylem nietykalności obstawionych miejscach był mały globus, mapy, mała biblioteczka itp. W większości domów widać brak takiej troski. Dzieci własnym przemysłem urządzają się jakoś ze swymi „pracowniami”. Bardziej często jednak odrabiają lekcje „przycupnawszy” na rogu zawsze zajętego stołu, w przerwie między posiłkami a pracą starszych. W ubiegłym roku postanowiłem rozszerzyć stan posiadania pomocy naukowych wśród uczniów i zażądałem zakupienia w klasach siódmych Encyklopedii Powszechnej A—Z. Na zebraniach rodzicielskich przedstawiliśmy tak spra-

wę, że pomoc ta jest niezbędna w naszej pracy i że uważamy, że taka książka powinna być w każdym polskim domu. Do tej pory bowiem na około 76 uczniów miało w domu encyklopedię tylko kilku. Podobny stan zresztą istniał i w liceum, gdzie nauczyciele nie mogli sobie pozwolić na lekcje oparte na encyklopedii. W rezultacie wszyscy nasi uczniowie zakupili żądaną pomoc. Kiedy o tym osiągnięciu (cena 220 zł za egzemplarz) opowiadałem innym nauczycielom, jeden z nich nazwał to żartobliwie „bezprawiem”. Uznając taki termin w stosunku do mentalności pewnych rodziców, którzy nie lubią na potrzeby ucznia wydawać poważniejszych sum, ale na inne wydatki, zbędne dla zdrowia i szkodliwe je szcze w innym sensie, nie uznaję ograniczeń. W tym roku szkolnym skorzystaliśmy z ukazania się popularnej encyklopedii (cena 80 zł) i zażądaliśmy kupienia jej przez uczniów klas V—VII. Ponieważ wydatek jest mniejszy, domagamy się także kupna słownika wyrazów obcych, który ma się ukazać w czwartym kwartale tego roku kalendarzowego. Odpowiedzialność rodziców za wyniki pracy w szkole należy poprzeć także ich kieszonką. To jest bardzo ważny problem w dziele współpracy ze szkołą.

Zresztą nie o same pieniądze tu chodzi. W ostatnim numerze miesięcznika „Żyjmy dłużej” (Nr 9/62) jest mały artykuł „Zawsze był prymusem”. Wśród sposobów na to, „by... pomoc rodziców była dyskretna i skuteczna”, autorka wymienia kilka wskazówek. Jedną z nich brzmi tak: „Skłaniajcie dziecko do tego, by zaczęło posługiwać się słownikiem i encyklopedią. I nie wstyďte się przy nim zaglądać do encyklopedii, jeżeli was pyta o słowo, którego znaczenia nie znacie lub nie pamiętacie”. Autorka pisze tylko jako matka. Dotyka jednak spraw istotnych dla interesu obydwu stron: domu i szkoły.

Adam Owsikowski

BOMBA W GIMNAZJUM

(Dokończenie ze str. 12)

choć skuteczny wczyn, wykonaliśmy w cieniu szubienicy? — Przecież to było w czasie stanu wojennego, a sądy wojskowe nie były zbyt pobłażliwe.

— Oczywiście! Ale o tym wówczas nie myślałem.

— No dobrze, Beniu — ale powiedzcie mi, co porabiacie teraz, jak wam się powodzi, z czego żyjecie?

— Kiedyś, przy spotkaniu, opowiem wam szerzej o tych ciekawych dziejach. Powiem wam krótko. W swoim czasie z marynarzami broniliśmy w Leningradzie Ermitażu. Trzeba było bronić przed rabunkiem, a jest to jedno z najbogatszych muzeów świata. Później spisywałem, katalogowałem kosztowności carskie. Najwspanialsze brylanty, szmaragdy, rubiny, perły trzeba było ważyć nie karatami, a chyba kilogramami. A gdyby tak kilka karatów, tak „na pamiątkę” schować do kieszonki... — uśmiechnął się tym swoim, nieco kpiarskim uśmiechem — czy trzeba by było przy takim deszczu pędzić na czwarte piętro na lekcję literatury?

No, żegnam was kochani, muszę się spieszyć, przy okazji pogadamy.

Beniu zmienił nazwisko. Nazywał się Stefan Drzewiecki. W międzywojennej Polsce był znanym pedagogiem, dyrektorem gimnazjum Lorena, członkiem Prezydium Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Po demobilizacji przeniosłem się na Wolyń. Spotykaliśmy się od czasu do czasu. Kontakty nasze urwały się w czasie okupacji. Mieszkałem już wówczas w Kozienicach. Chciałem mu dostarczyć nieco żywności, o którą w Warszawie było tak trudno. Dzwoniłem kilka razy, telefon domowy 647-36 niepokojąco milczał...

O dalszych losach Stefana Drzewieckiego przez czas dłuższy niewiele mogłem się dowiedzieć. Do r. 1949 pracował na placówce zagranicznej. Przed paru dniami z Zarządu Głównego ZNP otrzymałem smutną wiadomość. Mały kochany Beniu nie żyje. Zmarł w Paryżu w r. 1958. Pamięci przyjaciela o wspomniałem sercu i płomiennej artystycznej duszy wspomnienie o naszej „lubelskiej bombie” w holdzie poświęcam.

Wacław Kościanowski

ROK 1907 w stosunku do nasilenia rewolucyjnego lat 1905—6 w Królestwie Polskim był okresem spadku fali rewolucyjnej. Jednakże strajki i napady, tylko nie miały one dynamiki poprzednich lat. Dnia 1 lutego 1907 r. został dokonany napad na stację kolejową Nałęczów, 5 lutego na Dorohusk, 3 września na Minkowice. Więzienia były przepełnione aresztowanymi z lat 1905—6.

Dnia 13 maja 1907 r. z więzienia na Zamku w Lublinie uciekło 41 więźniów.

Baszta więzienna — pomieszczenie więźniów — miała dwa piętra, 3 kondygnacje. Osadzano w niej największych przestępców tak politycznych, jak i kryminalnych. W komórce na parterze był otwór prowadzący do kanału kloacznego. Komórkę zamykano na klucz, przechowywany u nadzorczy; otwór też był zamknięty na 2 kłódki. Miał on głębokość 3 łokci, łączący się z kanałem, który prowadził przez łąki Tatary ku Bystrzycy. Kanał, długości około 1500 kroków, można było przejść najpierw w pozycji pochylonej, później na czworakach, dopiero przed wyjściem nieco się rozszerzał. W południe więźniowie, po spacerze, pojedynczo niepostrzeżenie przemycali się do celki z otworem, który więźniowie Ostrowski i Chojnacki otworzyli z pomocą dobranego klucza; przez otwór i kanał doszli do Bystrzycy, umyli się, poszli w stronę wsi Dys, gdzie się rozeszli. Ucieczkę spostrzeżono dopiero o godzinie trzeciej. Telegraficznie zawiadomiono władze policyjne lubelskie i gubernii ościennych. Warszawska Izba Sądowa delegowała urzędnika do specjalnych poruczeń dla dokonania rewizji w więzieniu. Zawieszono w czynnościach naczelnika więzienia, a 2 dozorców, Szyszię i Mentnę aresztowano.

Gubernator lubelski pismem z dnia 14 maja poleca naczelnikom powiatów najenergiczniej poszukiwania. Większość zbiegłych należała do band, czyniących w latach 1906—7 napady rabunkowe, miała stosunki z innymi przestępcami i była bardzo niebezpieczna dla życia publicznego. Szczególną uwagę zalecał zwrócić na Cyganów, braci Kowalskich — Franciszka i Szymona — oraz Aleksandra Majewskiego — należeli oni bowiem

do niedawno zatrzymanej szajki Lisa. Za każdego pojmanego wyznaczono wysoką nagrodę. Postawiono na nogi policję, straż ziemską, straż graniczną, wojsko. Oddziały wojska rewidowały lasy, czuwały na drogach. Miasto Lublin obstawiono wojskiem i kozakami, dokonywano rewizji po domach u osób podejranych. W kanale znaleziono ubrania i narzędzia.

Z 41 uciekinierów, 21 było więźniów politycznych. Na kilku z nich czekała śmierć. Do jakiej partii należeli, akta nie podają. Władze rosyjskie nazywały „bandytą” każdego ujętego przy napadach na dwory, na stacje kolejowe, z bronią w ręku. Uciekinierzy byli bardzo młodzi (najmłodszy miał 15 lat), zaledwie kilku liczyło ponad 30 lat. Większość pochodziła z Lubelszczyzny, kilku z Warszawy, Radomia i Plocka. Po ucieczce jedni ukrywali się na terenie guberni lubelskiej (dwóch w Nałęczowie na Pałubach), inni wyjeżdżali do Imperium — do Kijowa, Odessy, Jekatierynosławia w poszukiwaniu pracy i znowu wracali w strony rodzinne. Ujęto trzynastu. Ich nazwiska: Woronin Osip, Kerszenbaum Hersz, Gąsiorowski Antoni, Tajtelbaum Szmul, Dyjak Wawrzyniec, Witkowski Józef, Myśliwy Michał, Jaszczuk Franciszek, Dembiński — Dzieńdzic Stanisław, Kosiński Kazimierz, Ajzen Hersz, Chojnacki Jan, Pałczyński Wacław, Pałczyński i Chojnacki zostali zabici; Pałczyński w czasie napadu na dom obywatela ziemskiego Koryzny w powiecie lubartowskim, Chojnacki zaś w krasnostawskim, Ajzen utonął w Bugu, Myśliwy, ranny przy pojmaniu, zmarł w szpitalu w Chełmie.

Wkrótce po ucieczce więźniów prokurator lubelski otrzymał list od uciekinierów — Cyganów — braci Kowalskich i Aleksandra Majewskiego z prośbą o zwolnienie z aresztu dozorców Szyszię i Mentnę, a ukaranie dwóch innych, od których otrzymali za 500 rubli klucz od celki z otworem. W więzieniu kilkakrotnie przeprowadzano rewizję. Rewizja we wrześniu przyniosła niespodziewane rezultaty: znaleziono u politycznych 4 brańingi i amunicję.

Notatka niniejsza została opracowana na podstawie akt znajdujących się w WAP Lublin — „Kancelaria Gubernatora Lubelskiego” R. 1907 nr 39 oraz wiadomości zawartych w „Kurierze Lubelskim” R. 1907 z 27.V.

O „KULTURALNYCH” kłopotach stolicy Podkarpacia

(Dokończenie ze str. 9)

łów muzycznych, wokalnych i instrumentalnych: chór Studium Nauczycielskiego, chór „Echo” przy MRN, 3 orkiestry dęte.

Również zawodowe zespoły artystyczne spoza Krosna zaglądnęły od czasu do czasu do miasta. Stałym, niemal comiesięcznym gościem jest teatr Wandy Siemaszkowej z Rzeszowa. Z przyjazdami zespołów z imprezami nie ma większych kłopotów, gdyż miasto posiada dużą salę w Domu Kultury „Górnika-Naftowca”.

To są aktywa. A mankamenty? W mieście mówi się o pewnym kryzysie ruchu amatorskiego, opierającego się na tradycyjnych, zbyt już wyeksploatowanych założeniach. Dlatego ruch ten traci zwolenników (przeprowadzona ostatnio akcja rekrutacyjna do zespołów artystycznych wykazała wyraźny spadek zainteresowań). Chociaż z drugiej strony dają również o sobie znać nowe inicjatywy: w oparciu o Studium Nauczycielskie powstaje teatr słowa. Jedynie w mającym tak wartościowe osiągnięcia zespole „Górnika” sytuację komplikuje poważna choroba jego zasłużonego kierownika, Wiktora Łąckiego.

Od paru lat można obserwować w Krośnie stałą tendencję, zmierzającą do ożywienia działalności oświatowej, a także badawczo-naukowej. Jednym z inspiratorów tych poczynań jest miejscowe muzeum, kierowane przez ruchliwego, pełnego inwencji archeologa, mera Józefa Janowskiego. On to zorganizował po upaństwowieniu muzeum w roku 1958 stałe ekspozycje,

skupił wokół placówki grupę osób żywo interesującą się przeszłością i dniem dzisiejszym Krosna. Jedno z dwu istniejących w mieście stowarzyszeń — Polskie Towarzystwo Archeologiczne — powstało i działa w oparciu o muzeum. Duszą Towarzystwa — liczącego 25 członków jest sam Janowski — jedyny zresztą w tym gronie archeolog. Zartobliwie powiadają o nim (Janowski jest również poetą), że jest najlepszym poetą wśród archeologów. Powiedzenie to trzeba uzupełnić informacją, że Janowski drukował we „Współczesności”, „Życiu Literackim” i „Kamieniu” — uważany jest za jednego z najbardziej obiecujących poetów spośród młodzieży literackiej, która debiutowała w ostatnich latach na Rzeszowszczyźnie).

I oto rozmach tego ruchu naukowego napotkał nie lada przeszkodę: trudności wydawnicze. Zgromadzone z niemałym trudem rozprawy naukowe powinny ujrzeć światło dzienne.

W 20-tysięcznym mieście, które postanowiło co roku organizować coś w rodzaju małego festiwalu sztuki pod nazwą „Dni Ziemi Krośnieńskiej” — wyraźnie odczuwa się brak placówki, która spełniałaby funkcję klubu prasy i książki. Byłoby to miejsce spotkań z ciekawymi ludźmi, odczytów, prelekcji itp. Zorientowani w niełatwej sytuacji mieszkaniowej miasta utrzymują, że klub taki można by z powodzeniem zorganizować w dawnych pomieszczeniach fabryki obuwia. Wspólnymi siłami krośnieńskich zakładów pracy i instytucji (a jest ich przecież немало) można by lokal ten przystosować do nowych potrzeb i dobrze wyposażyć. Tylko kto ma się tym zająć? Czy nie Komisja Kultury przy Miejskiej i Powiatowej Radzie Narodowej?

Zbigniew Wawszczak

(Dokończenie ze str. 11)

znakiem ją wydać. Co do tego ostatniego punktu nie było żadnych wątpliwości. Poezje, które zrodziły się, że tak powiem, w blasku „Reflektora”, jego znakiem miały być przypiętowane. Tak zdecydował przede wszystkim sam Czechowicz. Miał to być rozpoczęty przez Gredzińskiego dalszy ciąg naszego wydawnictwa: „Biblioteka Reflektora”.

W tymże zbiorku ukazał się przeciw wiersz pt. „We czterech”, gdzie najpiękniej została pokazana istota naszego trudu poetyckiego i naszej grupy. Czechowicz mnie, Gralewskiego i Gredzińskiego nazywa po imieniu i daje jeszcze nasze krótkie poetycko widziane charakterystyki. W „Kamieniu” wiersz jest umieszczony bez żadnej dedykacji, jest on nadto przejrzysty i zrozumiały. Drukując go jednak poza zbiorkiem zaopatrzył go autor posłaniem „towarzyszom „Reflektora”.

Oczywiście wydawca książki był symboliczny, chodziło o podkreślenie więzi i zaznaczenie pewnej ciągłości. Obiecywałam sobie wydać szereg tomów pod tym znakiem. Faktycznie wszystkie koszty związane z ukazaniem się tomiku poniósł sam autor.

Tytuł wybrał Czechowicz. „Kamień” — miał się nazywać ten jego debiut książkowy. Na temat tytułu wiele było rozważań i dyskusji: Mnie na przykład nie zachwycał ten „Kamień” i nie bardzo rozumiałem jego genezę i uzasadnienie. Czechowicz nie chciał czy też nie umiał tego wytłumaczyć. Powiedział, że tak jest najlepiej i tak musi być. I pewno miał rację.

Projekt okładki, układ graficzny, wybór czcionki — wszystko to było osobiście zaprojektowane przez autora. Czechowicz był przecież bibliofilem i niesłychanie czuł na piękno zewnętrzne książki. Niestety, skromne możliwości finansowe, nie pozwoliły mu w pełni wykorzystać swych zamierzeń, a pomysł, że ze względów oszczędnościowych, by drukować książkę na papierze drukowym — nie wyszedł jej na dobre.

Niemniej jednak pomimo tych wszystkich niedostatków, małego nakładu i braku jakiegokolwiek reklamy — „Kamień” Czechowicza stał się wydarzeniem literackim.

Nawet i krytyka stołeczna go zauważyła i nazwisko Czechowicza stało się głośne. Pierwszy krok na drodze do sławy został zrobiony.

Ale oprócz tych dwóch książek zamierzenia „Reflektora” były znacznie

większe. Początkowo razem z Czechowiczem miałem wydać zbiorek wspólnych wierszy. Później zmieniło się, lecz mój tomik szykowałem do druku. Tytuł miał brzmieć: „Krew i whisky”. Właśnie wtedy napisałem swoją „Ode”, która była poniekąd syntezą naszych ówczesnych przeżyć alkoholowo-knajiarsko-poetyckich. Nie przeczę, że patronował mi wielki Apollinare. Jego „Alkohole” upajały mnie silniej niż realna wódka i koniak. „Streść” umiałem na pamięć w oryginale i po polsku w świetnym przekładzie Ważyka. Moja „Oda” miała wielkie powodzenie, krążyła w wielu odpisach, zanim została wydrukowana. Od tej pory do koniecznego rytuału naszych seansów pijackich należała recytacja „Ody”. Wiersz był dedykowany Stefanowi Jaraczowi.

Jednak ukoronowaniem naszej wspólnej twórczości, widomym znakiem dalszego istnienia naszej grupy i jej manifestem poetyckim — miała być książka zbiorowa pt. „Sztafeta”. Pomysł ten podał Gralewski, a wszystkim nam bardzo się podobał. Koncepcja polegała na tym, że każdy z nas miał napisać trzy wiersze: miłość — śmierć — legenda.

Oczywiście ujęcie tematu, forma, rozmiar itd. — to już była sprawa osobista każdego z nas, obowiązywały tylko tytuły, które oczywiście predestynowały poniekąd treść. Zabraliśmy się do roboty nawet z entuzjazmem. Ze zrozumiałych względów zakresiliśmy sobie termin oddania rękopisów dość oddalony. Zebyśmy nie pisali przynagleni przez czas, żeby nie było żadnego przymusu tylko potrzeba wewnętrzna.

Ale nie wyszło — jak i wiele innych naszych wspólnych poczynań. Nie wszyscy napisali wszystkie. Potem tośmy się już rozjechali, działalność naszej grupy uległa zawieszeniu — no i „sztafeta” nie osiągnęła mety. Szkoda. Byłaby to książka w pomysły jedyna w swoim rodzaju. Zostało tylko sporo poszczególnych wierszy pod tym tytułem każdego z nas. A już u Czechowicza te trzy sztafetowe tematy w przeróżny sposób przewijają się w jego poezji.

Konrad Bielski

Ceterum censeo

ZNAJDUJĘ coraz więcej sojuszników: w „Kobiecie i Życiu” od czasu do czasu (szkoda, że nie regularnie co tydzień) ukazują się w dziale „Rady i porady” — poradnik językowy; prawdziwą niespodzianką było dla mnie wystąpienie znanej botaniczki Zofii Radwańskiej-Paryskiej w obronie czystości języka — i to gdzie? — w piśmie tak specjalistycznym, jak „Taternik”. W ostatnim jego numerze słusznie oburza się ona m. in. na ohydny nowotwór „kocher” (z niemieckiego) używany przez wielu turystów zamiast dawnego określenia: maszynka czy kuchenka turystyczna, albo bardzo zgrabnego neologizmu — warnik. Wreszcie listy otrzymywane przeze mnie, dotyczące różnych wątpliwości językowych lub przytaczające błędy w czasopiśmie i książkach, świadczą o tym, że dla wielu osób nie są czerne słowa Karola Libelta: język jest krwią ojczyste ciało narodu opływającą. Tylko pisma literackie wciąż nie mogą się zdobyć na wprowadzenie na swych łamach choćby krótkiej, ale stałej rubryki językowej.

Dzisiaj chciałbym zwrócić uwagę na błędy popełniane przy odmianie nazwisk. W n-rze 19 „Współczesności” zamieszczono odpowiedź na „Odpowiedź z Kiele” Czesława Domagały. Zatyłulowano ją: „Głos Je-

rzego Mikke”. Nie pamiętam już, w którym dzienniku spotkałem się z podobną odmianą: „zgon Bronisława Wojciecha Linke”. A przecież w obu wypadkach powinna w dopełniaczu występować końcówka: — ego, jak Goethego czy Heinego. Podobnie we włoskich nazwiskach na i, mających również deklinację rzeczownikową. Niekonsekwencję w ich odmianie zauważyłem w „Spiżowej bramie” (str. 117—118): „Foscolo na specjalnej audjencji wraz z postulatorem sprawy beatyfikacyjnej, O. Micinelli, i znakomitym hagiografem, prof. Papisogli, wręczył... itd.” (zamiast z „Micinellin” i Papisoglim), albo „...rady prawnego Banco di Roma, adwokata Bocca, i dra praw Ricaldi...” (zam. Ricaldiego), ale nieco niżej na str. 118 poprawnie: podpisany cyferkami Alessandrinięgo”.

Skoro już jesteśmy przy odmianie nazwisk cudzoziemskich, wspomnę jeszcze o pewnym dziwolągu językowym przy odmianie imienia: przed dwoma laty, kiedy gościliśmy w Polsce ministra Krasky’ego, czytałem w prasie o wizycie ministra dra Bruno Krasky’ego. Teraz znów w związku z pobytom naszej delegacji w NRD słyszałem przez radio taką deklinację: Otto Grotewohla. Dlaczego Bruno, a nie Brunona? Otto, a nie Ottona. Przecież nikt nie powie: Adam Rapackiego, Podobnie z odmianą imion pisarzy angielskich: Scotta i Wilde’a: „Antykwaryusz” Walter Scotta i „Portret Dorianą Graya” Oskar Wilde’a (zam. Waltera i Oskara).

I wreszcie o odmianie nazwisk panieńskich z przyrostkiem -ówna. Któż nie zna tego częstego błędu: „Dewajtis” Rodziewiczówny? A należy mówić: Rodziewiczówny. W wydanych w Paryżu „Szkicach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego przeczytałem (str. 360) „dwie Wyrwiczówny” zam. Wyrwiczówny, (jak dwie siostry: deklinacja rzeczownikowa).

Ceterum censeo linguam nostram esse purgandam.

Caius



W NAŁĘCZOWIE (II)

NIGDY jeszcze moim wakacjom, urlopowi czy wczasom nie towarzyszyły w takim stopniu skojarzenia i reminiscencje literackie, jak w tym wrześniu nałęczowskim. Świadomość, że po alejach parku zdrojowego chodzili najbliżsi mi pisarze, że ich tradycja, niezależnie od dwóch poświęconych im muzeów, jest tu wciąż żywa, nie opuszczała mnie na chwilę. Odpowiednia lektura jeszcze bardziej potęgowała wrażenie dzianowości. Na każdym kroku jakieś wspomnienie: w odnowionej właśnie przy Alei Lipowej willi pod Matką Boską i w tym małym domku za nią mieszkał Prus, przyjeżdżający do Nałęczowa rokrocznie. A tu, w dawnym pałacu Malachowskich, powstała „Placówka”. Na którejś z tych ławek lubił stądnąć gawędząc z Dicksteinem. Nie, ławka ta już dawno spróchniała, ale rosnący obok, młody wówczas kasztan mógłby coś o tych rozmowach powiedzieć. A po tych alejach Prus gubił cukierki dla dzieci i uczył się jeździć na rowerze.

Przed kilku miesiącami na parterze pałacu Malachowskich otwarto muzeum regionalne poświęcone autorowi „Faraona”. Muzeum jakże inne od tego na Armatniej Górze. Nic tu z osobistych pamiątek po pisarzu, ale wiele fotografii, faksymilów listów, ba — nawet kopia świadectwa maturalnego otrzymanego w gimnazjum lubelskim z przewagą stopni celujących, zwłaszcza z nauk ścisłych. Muzeum „małe, skromne”, pomyślane jako przystępna „placówka naukowa o autorze „Placówki” — jak to określił w swym inauguracyjnym przemówieniu prof. F. Araszkiwicz. Mnie najbardziej zainteresowały zgromadzone w pierwszym pokoju liczne, choć z pewnością nie wszystkie, przekłady dzieł Prusa na języki obce, niektóre z nich wydane pięknie niż u nas oryginały. Na jednej ze ścian wisi kopia maszynopisu autora „Dziadzi”. Głowacki szedł z postępowym: nie tylko jeździł na rowerze i mimo obawy przed strażnikami zapuścił się do Nałęczowa do Kazimierza, ale i używał maszyny do pisania!

Żywsze jednak są tutaj tradycje Zeromskiego. Może dzięki jego „Dziennikom”, zwłaszcza ostatniemu pamiętnikowi nałęczowskiemu, wyraźnie tak unacznił się jego pobyt tutaj. A bo — dalej jeszcze bardziej dzięki wstrząsa-

jącym „Wspomnieniom o Adamie”. Szukając domu Michała Górskiego, gdzie autor „Siłaczki” mieszkał przybyłszy tu po raz pierwszy jako nauczyciel trzech córek bogatego inżyniera, pytam o drogę starego furmiana, który pamięta dobrze właściciela dóbr nałęczowskich: „Wszystko tu należało do niego. Jak go szanowali tutaj! A w jego pogrzebie wziął udział cały Nałęczów — i Żydzi tak samo. Czy znałem Zeromskiego? Jakże, kilka razy wozłem go na stację dorożką. O, to był prawdziwy socjalista! Ile on tutaj zrobił dobrego! Dla oświaty chłopów”. Idąc we wskazanym kierunku natrafiam na dużą drewnianą willę, dobrze powleczonej już patyną czasu, w starym zapuszczonym ogrodzie. Z nabożeństwem patrzę na balkon na drugim piętrze od pokoju, który zajmował młody Zeromski, mentor trzech niesfornych panienek, z których najstarsza, dziś sędziwa pani z okaleczoną nogą, jeszcze tutaj mieszka uwegetując z resztek olbrzymiej kiedyś ojcowizny.

Stary dom Górskiego zacięziony olbrzymimi drzewami mimo swej obecnej ponurości zamknął jednak w sobie szczęśliwe lata młodości pisarza: tu powstała „Siłaczka”, tu rodziło się potężne wówczas, choć nieostatnie, uczucie do wspaniałej kobiety. Inaczej — na Armatniej Górze, gdzie zakopiańska „chata”, otoczona wesołą zielenią łączki, zawarła w sobie najstraszliwszy ból Zeromskiego. Dziś — to muzeum, ale większość zwiedzających je, wchodząc do niego, nie zdaje sobie sprawy, że wkracza do przybytku nieszczęścia. Aby sobie to uświadomić, trzeba przeczytać „Wspomnienia o Adamie”, a potem przejść się za muzeum do pięknego, na jakiś zbiór ariański stylizowanego mauzoleum syna pisarza. Inaczej się wtedy będzie patrzyło na fotografie i zgromadzone pamiątki, świadczące o tej wciąż nie uświadamianej sobie przez nas prostej prawdzie, że martwe przedmioty żyją dłużej niż ich właściciele.

I wreszcie cmentarz nałęczowski w Bohotnicy Kościelnej: liczne groby powstańców, wśród nich miejsce spoczynku Henryka Rodkiewicza, pierwszego męża Oktawii Zeromskiej, grób Michała Górskiego, Andriollego i Gliniskiego, groby lekarzy zdrojowych, grób Chmielewskich — ojczyma i matki Oktawii i tuż na grobie kapliczka-krzyżek w stylu zakopiańskim z napisem „Świadcącym o tym, że jedna z najlepszych i najniezwyklejszych kobiet, Oktawia Zeromska, prototyp Madzi i Joasi, też tutaj spoczywa.”

X. Rovay

Na życzenie Czytelników przedłużamy termin konkursu

W związku z reformą programów szkolnych, w związku z aktualnymi problemami wychowawczymi — prace Nauczycieli budzi obecnie szczególnie żywe zainteresowanie szerokich kół społecznych. Chcąc uzyskać „z pierwszej ręki” materiały na temat życia i pracy Nauczycieli, Wydział Kultury PWRN, Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie i Redakcja „Kamień”

ogłosiły konkurs pod hasłem: „DZIEŃ POWSZEDEŃ NAUCZYCIELA”

Apelujemy do Wszystkich Nauczycieli, a przede wszystkim do Nauczycieli 4 współpracujących województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego, rzeszowskiego, aby wzięli jak najliczniejszy udział w naszym konkursie.

Piszele o trudnościach, jakie macie w pracy z uczniami i w kontaktach z rodzicami, o satysfakcji, jaką Wasza praca daje, o tym, jak układają się Wasze stosunki z otoczeniem, o doświadczeniach, o działalności kulturalno-oświatowej, o życiu osobistym, o wszelkich Waszych troskach, kłopotach i radościach.

Prace na konkurs mogą mieć dowolną formę: relacji, pamiętnika, reportażu itp.

Nie ograniczając rozmiarów, najchętniej widzielibyśmy wypowiedzi odpowiadające 5-10 stronom znormalizowanego maszynopisu (32 linijki na kartce, margines 2,5 cm).

Prace mogą być nadsyłane w rękopisie, wolelibyśmy jednak maszynopisy.

W konkursie przewiduje się następujące nagrody:

1 nagroda —	1500 zł
2 drugie nagrody —	po 1000 zł
3 trzecie nagrody —	po 500 zł

Ponadto przyznane będą liczne nagrody książkowe.

Najciekawsze prace publikowane będą w „Kamieniu” w całości lub we fragmentach, za normalnym honorarium autorskim.

Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie możliwość zmian w podziale nagród.

Prace prosimy nadsyłać do dnia 31.XII.1962 r. pod adresem Dwutygodnik „Kamień”, Lublin, ul. Graniczna 1-c z adnotacją na kopercie: „Konkurs”.

Prosimy o podpisywanie prac godłem, z załączeniem nazwiska i adresu w osobnej, zaklejonej kopercie.

Skład Jury Konkursu podany zostanie w terminie późniejszym.

NOTY

I ZNOW PWAŻNA STRATA, tym razem dla plastyki polskiej: przedstawiciel sztuki walczącej, twórca „Siłacza”, „Kamienia krzyżca”, „Cyruka” i innych dzieł demaskatorskich, oskarżających czasy pogardy, od zarani swęj pracy artystycznej aż po jej kres wiemy idealom człowieczeństwa — Bronisław Wojciech Linke nie żyje.

ZMARŁ GRZEGORZ TIMOFIEJEW, poeta, prozaik, publicysta i tłumacz, jeden z założycieli łódzkiej grupy poetyckiej i czasopiśmi „Meteor”, autor zbiorów: „Nie ma mnie w domu”, „Inny horyzont”, „Wysoki płomień”, „W stronę jutra”, „Gałąź wierzby” i autobiograficznych książek: „Miłość nie ma zmeżenia” (wspomnienia o dzieciństwie i do uwieźnienia autora przez Niemców) i „Człowiek jest magi” (pobyt w obozie koncentracyjnym). Timofiejew był blisko związany z przedwojenną „Kamienią”, w której zamieszczał swoje utwory — wiersze i szkice literackie. Po wojnie współpracował z „Kamienią” luzniej (m. in. w numerze poświęconym Czechowiczowi wspomnienie pt. „Czechowicz w Łodzi”).

NIEDOSZŁA LAUREATKA. W serii „Naokoło świata”, „Iskry” wydały ostatnio książkę znakomitej pisarki duńskiej Karen Blixen „Pożegnanie z Afryką”. Autorka posługiwała się również pseudonimem Isak

rzystw i instytucji walczących z gruźlicą. Zamyka go wykaz uczestników Zjazdu, wykaz katedr i klinik Akademii Medycznej oraz szpitali lubelskich.

Helena Myskowska, Mirosław Klepacki, Marta Smaga, Stefania Górską, Edward Cogan, Wiesława Szarewicz, Maria Sikora-Różyńska, Józef Jarzyna: Przyczyny opóźnień i zaniedbań leczenia gruźlicy i płuc ludności wilejskiej. Referat na XIV Ogólnopolski Zjazd Przeciwigruźlicy w Lublinie 1962. S. 29, 3 nbl. Nakład 800 egz. Obok pracy Heleny Myskowskiej: „50 lat walki z gruźlicą na Lubelszczyźnie” i zasygnalizowanego wyżej „Informatora” — jest to trzecia pozycja, która lubelskie środowisko medyczne poprowadziło XIV Ogólnopolski Zjazd Przeciwigruźlicy w Lublinie.

Na stoncznym wzgórzu, 5 lat Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. S. 34, 2 nbl. Nakład 1.000 egz. Cena 3 zł Reportaż pióra Lesława Gnoła pokazuje historię budowy LSM, jej rozwój, aktualne potrzeby i plany na przyszłość, przynosi też szereg ciekawych cyfr, informacji, fragmentów wyjętych z kroniki LSM, jak również opinie przedstawicieli władz partyjnych i terenowych o największej dzielnicy naszego miasta. Jak głosi sam tytuł — publikacja ta została przygotowana dla uczczenia jubileuszu 5-lecia LSM.

E. R.

Dinesen. Była ona poważną kandydatką do tegorocznej nagrody Nobla. Była, bo nieestety, zmarła we wrześniu br.

LUBELSKA ROZGŁOSIŃA liczy sobie już 10 lat. W październiku obchodziła swoje urodziny. Serdeczne życzenia dla solenizantki.

W AMERYCE UKAZAŁA SIĘ NOWA KSIĄŻKA O JOSEPHIE CONRADZIE, zawierająca nieznane materiały dotyczące twórcy „Lorda Jima”, autorem „Obrzydła na wygnaniu”, bo tak brzmi jej tytuł, jest krytyk Leo Gurka.

WEDŁUG DANYCH BIBLIOGRAPHIE DE LA FRANCE we Francji czytuje książkę 24 proc. obywateli, w Anglii 53 proc., a w Stanach Zjednoczonych tylko 21 proc. Szkoda, że w tej statystyce nie figurują panstwa socjalistyczne.

LES EXTREMISTES SE TOUCHENT. W rozpoczętym sezonie teatralnym (1962—1963) teatry paryskie najliczniej zaprezentowały sztuki Paula Claudela i Bertolda Brechta.

REWELACYJNE ODKRYCIE. Jest, jest już nazwa dla kierunku poetyckiego, który reprezentuje „w kolorze żółtobłękitnym” Miron Białoszewski! W numerze 9 „Twórcy” znajdujemy dziewięć jego wierszy, z których jeden ma tytuł „Balkonizm”. Choć każdy z nich mizdrzy się: „Jestem ładny”, nie „Łatwo zdecydować się za kogo” brać ich autora. Za formiste, futurystę, dadaiste, eks- czy-impresjoniste, imaginiste, surrealiste, weryste, mansonienie, czy pleranterystę? Tymczasem balkonista to brzmie dumnie. Nie szkodzi, że Wat przed czterdziestu laty robił to w swych namapaniach o wiele wdzięczniej: „Po nikach czarnawa wałki i grajce i rozgarniac krzewi złotobłękitów i rozwarzon i tragowaszcz i tragowaszcz gąszcz zielone zielone zielone”. Jak to powiedział Wikac w swym „Manifestie piurablistów”? — „Blagujemy, nous blaguons, wir blaguons, noi blagamo, we are blaging”. Ale czytujemy puentę jednego z wierszy balkonisty: — „nie przejmować się — nie przejmować się”. A czytelnik doda cytate z „Wielkiego przesniacza”: „Ja nie jestem taki głupi” — bując to my, ale nie nast!

-kaj-

LUBELSKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE

Na przestrzeni ostatnich 6 tygodni Wydawnictwo Lubelskie oddało do rąk czytelników 8 nowych książek (od początku roku — 31), o łącznej objętości 37 arkuszy wydawniczych (od początku roku — 193), 48 arkuszy drukarskich (211), w nakładzie 51.500 egzemplarzy (161.000) i wartości 281.950 złotych (1.445.585 zł). A oto poszczególne pozycje:

Helena Platta: Wieki. Interludia lubelskie. I. S. 154, 2 nbl. Nakład 5.000 egz. Cena 10 zł.

Wiesław tworząca. Antologia współczesnej poezji chłopskiej Lubelszczyzny. Zebrała i opracowała Alina Aleksandrowicz. S. 164. Nakład 1.000 egz. Cena 15 zł.

Józef Czechowicz: Bawie bracińska. Ilustrował Lucjan Wengorek. S. 4. Nakład 30.000 egz. Cena 5 zł. Kolejny drugi już prezent Wydawnictwa Lubelskiego dla dzieci. Po książeczce „Jak groch wderował” najmłodsi czytelnicy otrzymali chyba jeszcze ładniejszą książeczkę, wykonaną wielobarwną techniką offsetową. Tej pozycji nie można wróżyć zbyt długiego żywota na półkach księgarskich. Warto też nadmienić, że ukazała się ona w 23 rocznicę śmierci Czechowicza.

Stanisław Krzykała: Studenci Instytutu Rolniczo-Leśnego w Puławach w walce z caratem

* Recenzja ukaze się w następnym numerze „Kamienia” (Red.)

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamień” • Redaguje Kolegium: Waldemar Babincz, Maria Bechcysz-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aleksander Gabrusiewicz, Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. za 12, półrocznie za 24, rocznie za 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie za 16,80; półrocznie za 36,40; rocznie za 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Zam. 4217 17.X.62 D-3